Nr. 37 (1237). Warszawa, 28 Sierpnia (10 Września) 1904 r. **Rok XXIV.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

w Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rb. **2**, rocznie rb. **8**, z odnoszeniem do domu.

z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. **2** kop. **50**, rocznie rb. **10**.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 **popołudniu.**

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

SZAN. ABONENTOM KWARTALNYM PRZYPOMINAMY TERMIN PRZEDPŁATY.

POLITYKA.

Anglia w Tybecie.

Przed miesiącem jeszcze wyprawa angielska stanęła w Lhassie; od trzech tygodni toczy agent dyplomatyczny Anglii, Younghusband, układy z dygnitarzami tybetańskimi i ambanem chińskim, bo Dalaj-Lama ulotnił się w chwili, gdy Anglicy wkraczali do świętej stolicy świętego wcielenia; podobno umknął z rosyjskim kozakiem a syberyjskim buryatem Dorżewem aż do Mongolii, ale bardzo być może, iż się gdzieś w Tybecie, dalej na północ ukrywa, a może i w ogromnym klasztorze, w zbiorowisku klasztorów samej Lhassy, utaił się tak, że Anglicy przekonani są o jego nieobecności. Domniemanie ucieczki pod skrzydła rosyjskie ma za sobą najpierw dawniejsze już stosunki, które właśnie teraz dały Anglikom podnietę do dochodzenia praw wrzekomo gwałconych, a potem interes samej Rosyi, biegunowo angielskiemu przeciwny i polityka jej, tradycyjnie w wypadkach podobnych posługująca się wypróbowanem już tyle razy narzędziem opieki nad krzywdzonymi.

Jaką może mieć rozsądną pobudkę angielskie ministeryum spraw zagranicznych do prowadzenia układów w takich warunkach nieobecności osoby panującego, które przynoszą w sobie zarazem i nieobecność jego woli przy układach — trudno pojąć, gdy ta nieobecność ma właśnie charakter jawnie wrogi układom, a Dalaj-Lama sprawuje nad swoimi poddanymi władzę najbardziej absolutną na ziemi, bo jest nietylko ślepo po ludzku słuchanym, ale i zapamiętale po bożemu czczonym i kochanym. Rozsądek, który zwłaszcza dla dyplomacyi ostrym nożem być powinien, przecina zupełnie nadzieję dobrowolnej ratyfikacyi; bo gdyby nawet samo wcielenie Buddy — człowiek bardzo młody, zdrów i tęgi — ujęte jakiemi dobrodziejstwami osobistemi, skłoniło się do uległości, Rosya w powyższej woli swojej zdołałaby bez wielkich wysiłków umocnić go w oporze przeciwko wszelkim stanowczym, głód angielski zaspokoić zdolnym zobowiązaniom.

Pozostają tylko zobowiązania niestanowcze, tymczasowe, odwołalne, dające raczej przedsmak stosunku przez Anglię upragnionego, niż sam stosunek. Liczyć na to, że obecność ambasadora chińskiego przy układach, choćby z najuroczystszą wolą i najszczerszem współdziałaniem Pekinu, pokryje nieobecność i niechęć Dalaj-Lamy, że umowa, uświęcona wolą pana zwierzchniego, jakiem jest bogdychan chiński, stanie się obowiązującą dla wasala—majstrowie z Downing-Street i z Calcuty nie mogą. Pp. Younghusband i Macdonald przywiozą im tylko z Tybetu wiele własnych a cennych spostrzeżeń, przywiozą zawiązane za pomocą gwinei stosunki z wpływowemi osobistościami w Lhassie; mogą przywieźć ujętą w słowa możliwość pożądanego ułożenia się stosunków z Tybetem, jako całością państwowo żyjącą — ale umowy z Tybetem nie przywiozą. A choćby nawet jaki papier czy pergamin przywieźli, będzie on tylko świstkiem. Do celu będzie musiał zarówno margr. Lansdowne, jak lord Curzon, pójść inną drogą — tym wielkim gościńcem powszechnych dziejów politycznych, który się nazywa gwałtem.

Nic pewnego nie wiemy o samym przedmiocie upragnionej przez Anglików dobrowolnej umowy; ale to na pewno, zwłaszcza z mowy tegorocznej Curzona wnieść nam wolno, że zabezpieczyć sobie chcą terytoryalnie pogranicze północne Kaszmiru i Nepalu i właściwych Indyj, politycznie zaś wpływ stały, monopol protektoratu, wyłączający Rosyę, a ubezwładniający Chiny w Tybecie. Jakieś handlowe szykany, jakieś rozbijanie i rabowanie kupców, albo wstrzymywanie podróżników, szpiegów i wywiadowców angielskich — są to wszystko fatałaszki, dające pozór, ale niezdolne dać celu. Cel istotny tkwi w powyższej podwójnej dążności, bezpieczeństwa i przewodzenia. Jest on tak wyraźnie skierowany przeciwko Rosyi, że na jedną chwilę nawet przypuszczać nie można, aby najuroczystszy nawet, dziesięcią pieczęciami opatrzony akt zawarty w Lhassie mógł zakończyć sprawę i dać Anglikom zdobycz pewną i trwałą. Bez gwałtu, bez militarnego osadzenia tych gór, przez które teraz najtrudniej było się przedostać, bez stałej załogi, któraby w Lhassie czuwała nad moralnością polityczną Dalaj-Lamy — Anglia do celu nie dojdzie; a to wszystko, rzecz prosta, będzie musiało uwikłać ją w bardzo poważne, nieprzyjazne stosunki z Rosyą. Nad azyatyckim wschodem zbierają się chmury na nową burzę; japońsko-rosyjska nawałnica przeminie, a tybetańska burza huczeć będzie.

Clemenceau o walce z Kościołem.

W jednym z ostatnich numerów *Aurore* wydrukował Clemenceau artykuł pod tytułem „Le lendemain,“ w którym, roztrząsając obecne położenie polityki kościelnej, opór klerykałów i obowiązki stronnictwa republikańskiego, wypowiada następujące, rozumne zapatrywanie:

„Trzeba przewidzieć, że przy przeprowadzeniu rozdziału kościoła od państwa ujawni się pośród nas wiele różnic w zapatrywaniach. Ale to mnie nie niepokoi. Nierozumnem byłoby przypuszczenie, że tak trudne zadanie da się rozwiązać bez popełnienia omyłki, a także bez możności naprawienia uczynionego błędu. Operacya wymaga zręcznej ręki, wiem o tem równie dobrze, jak każdy. Rozdział powinien być rzeczywistym, wszelkie przywileje kościoła muszą ostatecznie zostać zniesione. Prawdopodobnie umiarkowani będą stawiać opór uchwaleniu środków, mających urzeczywistnienie tej idei na względzie. Da się ono przeprowadzić wielorakimi sposobami, których tu roztrząsać niema potrzeby; mogę jednak zapewnić, pomimo przeciwnych dowodzeń klerykalnych, że większość w obu Izbach nie wyda prawa w duchu prześladowczym. Wprawdzie wychowanie katolickie wrogo usposobiło niektórych radykalnych względem kościoła rzymskiego, ale większość nie da się nakłonić do przyjęcia systemu ucisku. Prawo o rozdziale może zapaść tylko w duchu zupełnej wolności.

Część umiarkowanych będzie obstawać przy konkordacie, twierdząc, że jest przynajmniej nieuciążliwy, jeżeli nie doskonały. Trudno o większy dowód niezrozumienia głębokich różnic, dzielących stan polityczny i społeczny 1904 r. od takiegoż stanu z 1802 r. Konkordat był dziełem dyktatury. Sam dyktator nie dotrzymywał swych zobowiązań, a Kościół po jego zniknięciu pamiętał o tych tylko, które mu były dogodne, inne pomijał — obie więc strony warunków umowy uczciwie nie dopełniły. Umiarkowani zapominają o ważnej zmianie, jaka się dokonała w ciągu ostatnich lat trzydziestu: miejsce rządu, który, według słów Napoleona, na tem samem łóżku cesarskiem tylko inne prześcieradło położył, zajął rząd wolności. Ale i wolność ma swoją logikę. Wcześniej czy później musiało przyjść do starcia pomiędzy francuską wolnością a rzymskim absolutyzmem. Mam wszelkie prawo przypuszczać, że ani pan Combes, ani pan Delcasse dobrowolnie walki nie rozpoczęli. Doświadczenie lat stu wykazało, że konkordat posiada dużo zalet prócz jednej niezbędnej: zastosowalności, i że mógłby się ostać, przynajmniej u nas, ale tylko pod warunkiem, że nie byłby zastosowany.

A więc rozdział nastąpi i nastąpić musi. Gdyby Kościół rzymski przedstawiał tylko wyznanie religijne, żadnych starć nie trzeba byłoby się obawiać, albowiem przy obecnym stanie naszej cywilizacyi niemożliwym jest taki rząd, któryby chciał wznowić dawne prześladowanie za wiarę. Ale Rzym dąży do władzy, do międzynarodowego zawładnięcia ludami po nad wszelkim rządem. Na tym punkcie, oświadczamy stanowczo i głośno, do żadnego porozumienia nie dojdziemy nigdy. Jeśli papieżowi chodzi o wolność wyznaniową, damy mu ją tem chętniej, że wolność sumienia, którą on wyraźnie potępił w „syllabusie,“ jest jedną z zasadniczych podstaw naszego prawa. Wyznanie rzymskie otrzyma wolność i wszelkie prawo korzystania z tej wolności. Ale nic więcej. Wasi zakonnicy i duchowni wypowiedzieli walkę wolności w imię absolutyzmu i tem nas zmusili do uważania siebie za wrogów. Z przywilejów, przez państwo nadanych religii, ukuli oni broń polityczną przeciw rzeczypospolitej. Takież same walki przed trzystu laty wywołały reformacyę. I proszę spojrzeć, jaką przewagę nad waszymi rzymskimi wyznawcami zdobyły te ludy, które oderwały się od Rzymu. My może zapóźno tego rozdziału żądamy, ale go mieć musimy. A kiedy Kościół katolicki, który u nas znajduje się w większości, przyzwyczai się do swego nowego położenia we Francyi, tak jak przyzwyczaił się w innych krajach, gdzie jest w mniejszości, i kiedy pogodzi się także z wolnością, to i u nas nakoniec zapanuje pokój religijny. Jeśli zaś Kościół będzie używał stronnictwem arystokratycznym — a nie łudzę się, jak wielce prawdopodobną jest ta możliwość — poparcia sił swoich swobodnie organizowanych, to zwalczać go będziemy tak samo, jak i te stronnictwa — wolnością. Niechaj wie zatem, że użyjemy wszelkich środków zapobiegawczych, aby on swą wolnością nie ukrzywdził wolności innych. Duchowieństwo powinno zrozumieć nareszcie, że tylko trzymając się ściśle sobie właściwych granic, od strony rządu niczego obawiać się nie potrzebuje. Jeśli je przekracza, aby do polityki sięgnąć, wystawia się na takie samo niebezpieczeństwo, jak każda inna korporacya. Może zadawać ciosy, ale jeszcze prawdopodobniej samo je będzie otrzymywać. Od niego więc zależy wybrać pokój lub wojnę.“

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Biskup Lavalu, Geay, wykradł się do Rzymu i przeprosił Stolicę Apostolską; dawno to już uczynił Nordez, biskup Dijonu. P. Combes w Auxerre powiedział mowę, która zarysowała wielkie linie polityki rządowej: podatek od dochodu, służba dwuletnia, zabezpieczenie starości.

Następca tronu prusko-niemieckiego zaręczył się z księżniczką Cecylią meklenburg-szweryńską.

Ks. Jerzy kreteński złożył p. Tittoniemu, min. spraw zagr. Włoch, memoryał o konieczności przyłączenia Krety do Grecyi.

Francya podobno postanowiła rozbroić „Dianę“; ale „Askold“ i „Grozowoj“ w Szanghaju ciągle jeszcze stoją w porcie neutralnym.

Z Dalekiego Wschodu.

KLUCZ WSCHODU.

XVII. Zaludnie. Podział na prowincye.

Statystykę Korei powierzył rząd od niepamiętnych czasów specyalnym urzędnikom miejscowym „aczön“ oraz zarządom prowincyonalnym, które obowiązane były co trzy lata dostarczać spisu ludności i wykazu ziem ornych. Stąd pochodzi, że do tej pory nie wiadomo nawet w przybliżeniu, jaka jest ilość mieszkańców półwyspu, ani jaki jego obszar uprawny. W 1897 roku rząd postanowił przeprowadzić spis ludności według mody europejskiej, lecz ponieważ znowu powierzył go tym samym „aczön“ i władzom prowincyonalnym, te z budującą jednomyślnością podały cyfry poprzednie, wynoszące 5,198,248 głów płci obojej, co przedstawia liczbę o *jedną trzecią* mniej wykazującą, niż spis z przed *trzystu lat.* *)

Przyczyną niezwykłego zmniejszenia się spisów ludności była okoliczność, że admi-

*) „Korea Reposit.“ 1898, str. 3).

Henryk Seton Merriman.

*

Szlakiem Żyda Wiecznego Tułacza.

(Ciąg dalszy).

Zdawna byliśmy przyjaciołmi i ja wiele zawdzięczałem brygadyerowi. Moją karyerę przedewszystkiem. To też często ulegałem jego życzeniom. Nigdy jednak nie skrzywdziliśmy nikogo. Fitz niejednokrotnie bywał także naszym wspólnikiem. Obaj my rozumieliśmy bez słów, że trzeba łagodzić wymagania służbowe dla Karola Thurkowa i obaj usiłowaliśmy nie dać mu tego uczuć. Jak większość synów, których ojcowie psują, Charlie był trochę samolubem, szczęśliwie niedomyślającym się nawet, ile to przykrej roboty inni wypełniają za niego.

Ale brygadyera nie udało nam się oszukać. Niełatwo to zresztą było w rzeczach, które dotyczyły jego syna. Wiedziałem o tem, gdyż w ciągu wielu lat niejedną godzinę z nim spędziłem na rozmowie o Karolu. Poprawdzie młody człowiek był sobie bardzo zwyczajną istotą. Zaledwie ekstrakt z pięciu takich, jak on, mógł dać jednego Fitz-Marnera.

Ślepota na tym punkcie starego, tak niezwykle bystrego w każdej rzeczy, była jednak wprost wzruszającą. To, za co należałoby się rumienić, wzbudzało w nim zachwyt. Impertynencya, właściwa Karolowi, wydawała mu się śmiałością, umiejętnością postępowania, lichy jego dowcip— świetnym darem towarzyskim. I my wszyscy jakoś dostrajaliśmy się w tem do niego. Ja mu np. nie powiedziałem nigdy, jakim marnym doktorem i jeszcze gorszym operatorem był jego syn. Nie wyprowadziłem go z mniemania, że wiele z uzdrowień, które jemu przypisywano, były w rzeczywistości dziełem Fitz-Marnera, że ludzie nie mieli zaufania do Karola i byli w tem poniekąd usprawiedliwieni.

Zła sprawa — powtórzył brygadyer, utkwiwszy oczy w depeszy, leżącej przed nim na stole.

Tak! — odpowiedziałem.

— Siadaj pan — rzekł, wskazując mi krzesło i podsuwając papier. — Czy miałeś zawiadomienie od biednego Barbera?

Wydobyłem początek sprawozdania i przedstawiłem mu. Początek mówię, gdyż zawierało tylko cztery wiersze, skreślone ręką Barbera i nagle przerwane w połowie wyrazu. Śmierć przyszła i nie pozwoliła dokończyć. Dałem mu także do odczytania list Simpsona.

— Co to jest?— zapytał nagle, składając papiery.

— Urzędownie — nie wiem.

— A nieurzędownie?

— Przypuszczam, że cholera.

Brygadyer podniósł kieliszek z winem, lecz ręka tak mu się trzęsła, że musiał postawić go na stole. Oczy jego unikały mego spojrzenia, wargi pod siwym wąsem drżały.

Chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Z niepokojem wyczekiwałem następnych słów jego.

— Coś przecież trzeba dla nich zrobić— wyrzekł nakoniec głosem ochrypłym, w którym trudno było rozpoznać dawny głos naszego wodza — człowieka, którego lękano się w czasie wojny, szanowano w chwili pokoju.

— Tak! — odparłem wyczekująco.

— Ktoś tam musi jechać.

— Tak.

nistracya miejscowa od niepamiętnych czasów wypłacała podatki do skarbu według podanych przez siebie cyfr, ponad to wszelki nadmiar zostawał w jej kieszeniach. Dziwić się więc jedynie należy, że mieszkańcy nie znikli całkowicie z raportów urzędniczych.

Obliczenia prywatne rozmaitych podróżników i badaczy niezależnych, wahają się między $7^1/_2$ milionami (ch. Dallet), a 28,000,000, podanymi przez samych Korejczyków w książce „Mań-guk-cżion-bio," wydanej nakładem rządu w 1885 roku. *)

Najwiarogodniejszymi wydają mi się cyfry podane przez panią f. B. Bishop, W. Griffis'a, oraz dostarczone przez źródła japońskie, nietylko dlatego, że to są autorowi, którzy dali najlepsze, najpoważniejsze opisania Korei, lecz i wskutek tego, że wszystkie poznane przezemnie miejscowości Korei wydawały mi się, co najmniej równie gęsto zaludnione, jak naludniejsze okolice Galicyi i Królestwa. Jeżeli weźmiemy przeciętne *minimum* powyższych okolic — 100 głów na kilometr kwadratowy i pomnożymy przez obszar Korei (223,523 kil. kw. według Strelbickiego) z potrąceniem należnych 50% na puste, nieużyte jej łańcuchy górskie oraz lasy północne, to otrzymamy właśnie około wymienionych powyżej 12,000,000 mieszkańców. Najgęściej zamieszkana jest środkowa część półwyspu, następnie jego kraje południowe. Ku północy zaludnienie słabnie — na wschodzie więcej, na zachodzie mniej i wreszcie u granicy Mandżuryi przedstawia nieliczne osady, rozsiane grupami wśród zupełnie pustych zapadlin, jarów, lasów i szczytów.

Gęstość zaludnienia rozmaitych części Korei wyrażona przez iloraz z liczby mieszkańców na przestrzeni danej prowincyi, ma bardzo małą wartość socyologiczną, gdyż nie daje najmniejszego pojęcia o zajęciu tutejszych obszarów przez ludzi. Dzięki charakterowi gór korejskich doliny zaludnione nieraz, jak Belgia, sąsiadują bezpośrednio z obszernymi szmatami pustyń prawie syberyjskich. Zaludnienie w Korei może więc być rozpatrywane jedynie względnie do obszaru ziemi, zawartej w istotnych granicach rolnictwa.

W końcu XIV wieku, z wstąpieniem na tron obecnie panującej dynastyi, Korea podzielona została na 8 prowincyi (do). Ponieważ jednak wszystkie one mają jasno zaznaczone granice naturalne, a niektóre z nich niegdyś tworzyły udzielne państewka, należy przypuszczać, że podział taki istniał i przedtem.

W 1895 r. był wprowadzony nowy podział na 23 okręgi (pu), obejmujące 337 powiatów (kuń), lecz wkrótce potem przywrócono dawne granice z wprowadzeniem podziałów tylko w pięciu prowincyach na: północne (puk) i południowe (nam); ma więc Korea ogółem 13 prowincyi, składających się z 341 powiatów (pu, mok) lub okręgów (kuń).

Oba podziały prowincyi Ham-giön-do i północnej Phiön-ań-do przylegają do Mandżurskiej granicy i wypełniają północną część półwyspu. Głównem miastem północnej Ham-gioń-do jest Kiön-siön, piękne, otoczone murami, mające z górą 15,000 mieszkańców i słynące z wyrobu naczyń miedzianych: leży w dolinie rzeczek Hasan-do i Tok-san-cziön (Oco-ken-muri) o 3 kilometry od morza Japońskiego i 150 od granicy rosyjskiej. Głównem miastem południowej Ham-giön-do jest Ham-hyn, niegdyś stolica całej prowincyi, a dawniej jeszcze w VIII stuleciu niezależnego państwa Bo-haj; leży ono w odległości paru kilometrów od morza nad rzeczką Siön cziön-hań, spławną zaledwie dla płytkich galarów. Handluje przeważnie żelazem, futrami i złotem; mieszkańców ma z górą 30,000; zbudowane według chińskiej mody i otoczone grubym i wysokim murem. Stąd do Genzanu niecałe 100 kilometrów. Wzdłuż wybrzeża, od pogranicznego z Rosyą miasteczka Kiön-hyń idzie niezła, jak na Koreę, droga, która w Genzanie zawraca w głąb lądu, kierując się ku Seulowi.

Północna Phiöń-an-do zajmuje zachodnie pobrzeże Korei; jej główne miasto Jag-piąg (Yöng-pyöng po angielsku) leży daleko od morza i stołecznego traktu w górach.

Dużo większe znaczenie strategiczne i handlowe ma powiatowe miasto pograniczne Yj-cziu (Wi-dżu po chińsku) u ujścia rzeki Amok-kau (Jalu po chińsku). Odegrało ono w chińsko-japońskiej i japońsko-rosyjskiej wojnie ważną rolę, jako klucz całej rzeki. Przed otwarciem granic Korei Yi-cżiu długi czas było głównem miastem, pośredniczącem w handlu między Koreą i Chinami; wywożono stąd przeważnie żeń-szeń, złoto, skóry, futra, a przywożono tkaniny jedwabne i bawełniane. Ma około 10,000 mieszkańców. Z Yi-cżiu idzie najlepsza w Korei droga do Seulu przez Phiön-jań, stolicę południowej Phion-jańdo, głównego niegdyś miasta całej prowincyi Pion-jań, a jeszcze dawniej stolica państwa Ko-gu-rio (od IV do VII stulecia). Miało ono przed wojną chińsko-japońską 60,000 mieszkańców i 12,000 domów, leży nad dużą i spławną rzeką Tadon-hań o 100 kilometrów od jej ujścia. Otwarte dla handlu europejskiego posiadało misye europejskie oraz konsulat japoński, było połączone telegrafem ze stolicą. Od czasu zbombardowania miasta w 1894 roku i wybuchłej następnie cholery, mocno podupadło. Obecnie znowu zostało zajęte przez Japończyków. W starej części Phionjaniu oraz okolicach zasługują na uwagę liczne pamiątki historyczne. Między innemi mogiła legendowego Ki-dza, emigranta z Chin, założyciela państwa Kö-gu-rio (na 1100 lat przed N. Chr.). Na mogile zbudowanej w stylu chińskim i opatrzonej chińskim napisem stoją figury prawodawców i wojowników, oraz... baranów, zwierząt obecnie nieznanych w Korei. Sześćdziesiąt „i" od Piön-janiu na górze Ko-riüng znajduje się cały szereg ciekawych grot stalaktytowych Kasu, gdzie w czasie napadów nieprzyjacielskich kryli się mieszkańcy *). Południowa Phiöń-ań-do wypełnia całkowicie prawie najwyższą szyję półwyspu korejskiego, oddzielającą północną część państwa od środkowej i południowej. Zalega zachodni brzeg, podczas gdy na wschodnim, za grzbietem gór Dyamentowych, wązkim skrawkiem aż za Genzan ciągnie się prowincya Ham-hań-do.

Do Phiön-ań-do z południa przylega prowincya środkowej Korei, Hoan-ha-do, do której należą i liczne wyspy morza Żółtego; główne miasto Häj-cżin leży w głębi lądu, ma 15,000 mieszkańców. Dalej ku południowi na brzegu głębokiego wcięcia morza Żółtego leży stołeczna prowincya Kiön-gyj-do. Zarząd prowincyi mieści się w mieście Su-uöń, o 40 kilometrów od Seulu, który wyjęty z prowincyi, tworzy samodzielną jednostkę administracyjną. Seul, albo Seur, co znaczy wielkie miasto, urzędownie zwie się Hań-siön lub Hanjan — twierdzą z nad rzeki Hań. Został stolicą w XIV wieku przy założycielu obecnie panującej dynastyi, który przeniósł tu

**) Davelay (Nouv. Ann. des Voyages, 1849, p. 306) — 7,342,351 głów (spis z roku 1763); Ch. Dallet (Histoire de l'Eglise de Corée, 1874 r.) — 7,500,000 gł. (z r. 1814); W. E. Griffis („Corea — The Hermit Nation) — 12,000,000 gł.; C. Gottsche (Verh. d. Ges f. Erdb. zu Berlin XIII p. 260) — 10,520,000 gł.; Japan Daily Herold (1885 r. Tabr. g.) — 10,518,937 gł.; Webel („Podróż do Korei" porosyjsku 1889 r., str. 161) — 16,000,000; H. N. Allen (A true story of Korea. Korean Rep. 1892 pp. 372) — 16,000,000; I. B. Biskop (ibid) — 12,000,000 gł.

*) „Korean Repository," 1898, str; 252.

I znowu zapadło milczenie, przerywane tylko odgłosem kroków warty, chodzącej pod oknami.

— Kto? — zapytał brygadyer szeptem prawie.

Sądzę, że wiedział, co odpowiem, że nawet dla niego, dla starca, którego życia cała nadzieja na jednem słowie zawisła, nie mogłem dopuścić się okrutnej niesprawiedliwości.

— Powinien jechać Charlie.

Szybkie, z pod oka rzucił mi spojrzenie i znowu opuścił powieki. Pierś mu się podniosła, jak gdyby zabrakło jej oddechu. Wyprostował się ostatnim wysiłkiem woli.

— Czy odpowie swemu zadaniu?

— Sumiennie nie sądzę, żeby nie miał odpowiedzieć.

— Do dyabła! — wybuchnął nagle. — Czyż niema sposobu wyjścia z tego?

— Jest.

— Jaki?

- Ja pojadę.

— To niepodobna! — odparł, tak wspaniale nieświadom swego strasznego samolubstwa, że o mało nie roześmiałem mu się w oczy. Dla siebie nie byłby żądał niczego. Dla syna nie wstydził się sięgnąć po wszystko. I moje usługi gotów był przyjąć, gdyby to było możliwe.

W tej chwili drzwi się otworzyły i wszedł Charlie Thurkow. Z blaskiem podniecenia w oczach bystro obejrzał nas obu. Znał on dobrze słabość swego ojca dla siebie i przypuszczam nieraz musiał z niej korzystać. Często np. naruszał karność wojskową, jak i obecnem wejściem do pokoju.

Lecz w każdym żyje poczucie sprawiedliwości, które wyraża się niezadowoleniem z nadmiernego przywiązania, nieumiejącego się hamować. Nic tak nie drażni, jak objawy nieposkromionej miłości. Podniosłem się natychmiast, nie chcąc być świadkiem rozmowy przykrej i prawdopodobnie upokarzającej.

Idąc ciemnym korytarzem, minąłem mężczyznę, przybranego w mundur sztabu, dzwoniącego ostrogami. Nie poznałem na razie w nim Fitza, bo nie dojrzałem jego twarzy.

Poszedłem do siebie i zająłem się rzeczami, właściwemi memu zawodowi, o których niema się tu co rozpisywać. Jeszcze z dwoma pomocnikami aj tekarskimi przyrządzałem mikstury, gdy wszedł do nas Fitz.

— Jadę do Capoo — powiedział mi spokojnie.

W milczeniu, uważnie przyglądał się naszym czynnościom. Pakowaliśmy lekarstwa dla Capoo. Nie odpowiedziałem mu, czekając, co więcej usłyszę. W tej chwili jednak nie mogliśmy mówić otwarcie z powodu obecności mych pomocników, a i potem nie przyszło do tego. Spojrzałem na niego. Był blady pomimo ogorzelizny, usta miał mocno ściągnięte.

— Podałem się na ochotnika — rzekł — i brygadyer mnie przyjął.

Od owej chwili ile razy usłyszę słowo „obowiązek," zawsze na myśl przychodzi mi Fitz.

Nie odpowiadałem, zajęty swoją robotą. Co tu było zresztą mówić wobec takiego oburzającego samolubstwa, takiej niesprawiedliwości!

Dawno się domyślałem, że Fitz kochał Elsie Matheson. O ile mogłem i jak mogłem starałem się mu w tem dopomódz. Ale o niej samej nie wspominaliśmy nigdy inaczej, jak tylko przelotnie. Nie wiedziałem nawet, czy Elsie zdawała sobie sprawę z tej miłości i jakiem sama odpowiadała na nią uczuciem. Widziałem, że kochała kogoś. To zwykle nietrudno poznać z oczu

swój dwór z Ka-cion'a (Son-do). Seul liczy 220,630 mieszkańców, a okalający go mur kamienny ma długości 20 kilometrów; zawiera 45,398 domów, dwa cesarskie pałace, „Stary“ (Ton-goań) i „Nowy“ (Kiońbo-guń), świątynię Konfucyusza, świątynię Nieba, świątynię Boga Wojny (Koań-nóńdzan), świątynię ku czci zamordowanego przez ojca księcia Dzan-hon (pradziada panującego obecnie cesarza), świątynię Juk-sań-gun na cześć matki króla Ion-dzon i wiele innych pomniejszych świątyń oraz grobowców. Z pałaców należy wymienić jeszcze Nam-biol-gun, gdzie zatrzymywali się niegdyś posłowie chińscy i dokąd przyjeżdżał do nich król korejski na znak swej zależności wasalnej, oraz „Arkę Niezależności“ (Ton-nip-mun), wybudowaną w 1895 r. w tem samem miejscu na drodze pekińskiej, gdzie dawniej król korejski winien był spotykać posłów cesarza chińskiego. Seul jest ogniskiem władzy państwowej i jako stolica ma własną administracyę, na której czele stoi „phań-juń“ z prawami gubernatora.

Przez miasto płynie błotnista rzeczka, wpadająca do rzeki Hań, która znajduje się w odległości 4—5 kilometrów od miasta i ma przewóz pod wsią Jąg-san; nie daleko przecina rzekę most kolejowy.

Na wschód od stołecznej prowincyi Kiań-gyj-do, za grzbietem głównego łańcucha górskiego wyciągnęła się prowincya Kan uoń-do, ze stolicą Cziun-czión, niewielką, 3-tysięczną zaledwie mieściną; kraj piękny, żyzny i rolniczy, który wchodził niegdyś w skład państwa Silla, przewodniczącego od VII do IX stulecia całej Korei.

Drugą połowę tego państwa tworzyły obecne prowincye — północna i południowa Kióń-san-do. Słynna stolica Silli, Kióńczin (starożytna „So-ja-bol“) znajdowała się w północnej prowincyi, niedaleko południowo-wschodniego wybrzeża półwyspu; w XVI stuleciu miasto zostało zburzone przez Japończyków; obecnie jest to małe miasteczko powiatowe. Główne miasta prowincyj: Tä-gu (północnej) i Czinczin (południowej) nic przedstawiają nic ciekawego. Tä-gu wsławiło się wielokrotnie straszliwą rzezią chrześcian. Na południowem wybrzeżu tej prowincyi znajdują się dwa ważne porty korejskie: Fuzan i Mo-sam-po (Mo-sań-pho).

Naprzeciw obu tych prowincyj, na wybrzeżu zachodniem, oddzielone wysokim łańcuchem górskim, który tu przecina środek półwyspu, leżą cztery prowincye: północna i południowa Cziun-czión-do oraz północna i południowa Cziólla-do, tworzyły niegdyś niezależne państewko Päk-czia (po chińsku Bo-dzi), stolica pierwszej Cziun-cziu, stolica drugiej — Konćziu są zwykłemi mieścinami korejskiemi, otoczonemi murami. Główne miasto południowej Cziolla do — Koan-cziu oraz północnej — Czion-cziu ledwie że zasługują na wzmiankę. Pierwsza prowincya posiada piękny port handlowy Mok-po (Mok-pho), druga ma również ożywiony port handlowy Kuń-sań; oba otwarte dla handlu zagranicznego.

Liczne wyspy, leżące wzdłuż brzegów Korei, należą nominalnie do przyległych im prowincyj, choć cieszą się względną autonomią i zaludnione są przez oryginalne, nieraz od lądowych odmienne szczepy, które zachowały wiele cech starodawnych. Zasługują na uwagę mieszkańcy wysp Lindsay)Ań-mıń-do) w zatoce Shoal (36° 30' szer. geogr. i 126° 20' dł. wsch.), w prowincyi Cziun-cziuo-do, których uważają za resztki aborygenów korejskich. Zwą oni siebie Czou-hou i mówią odrębnem narzeczem. Z wysp jedynie Quelpart (Czie-cziu) posiada oddzielny zarząd, rezydujący w mieście Czie-cziu (25,000 mieszkańców, 1,200 domów).

(C. d. n.)

W. Sieroszewski.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

RACHUNKI SPOŁECZNE.

Jeszcze w sprawie bezrobocia. — Zamiast środków zaradczych jałmużna. — Brak w życiu inteligencyi. — Kulturalność inteligencyi łódzkiej i wiejskiej w Płocku. — Pojęcia społeczne robotnika i chłopa. — Gminy. — Odczyty robotnicze

Kilka miesięcy temu cała nasza prasa, zarówno warszawska, jak prowincyonalna, pełna była skarg, utyskiwań i projektów, wywołanych straszną klęską przymusowego bezrobocia dziesiątków tysięcy robotników przemysłowych. Zdawało się wielu optymistom, że z tego potoku zdań kwiecistych wynurzy się jakaś akcya społeczna, mająca na celu zaradzenie złemu; myślano, że ogół nasz zbudzi się z dotychczasowej apatyi i zdobędzie na jakiś czyn samodzielny.

Życie jednak zadało kłam wszelkim nadziejom. Społeczeństwo ograniczyło swą czynną pomoc do łaskawego przyjścia na urządzane „dla biednych“ zabawy.

Oddając należną cześć staraniom i energii pojedynczych filantropów, zaznaczę tutaj jednak całą niedostateczność i w znacznej mierze bezcelowość takiego załatwienia się z olbrzymią niedolą przez ręce dorywczej i łaskawej dobroczynności. Pomijam tu oczywiście zgubny wpływ społeczny i etyczny tego rodzaju działalności.

Tysiące ludzi zdrowych, silnych, przyzwyczajonych do pracy i pracy tej pragnących, zostaje sprowadzonych na stopień żebraków i jak żebracy traktowanych. Czy to nie okropna ironia, czy to nie zabijanie powolne godności ludzkiej? Że sami robotnicy odczuwają tę stronę kwestyi, mamy dowód w artykule *Gońca Łódzkiego*, który twierdzi, że bardzo wielu przekłada głód nad korzystanie z obiadów bezpłatnych. Z drugiej znowu strony wobec dziesiątków tysięcy proletaryatu, chcącego pracować a żebrzącego, na gorzką ironię zakrawa fakt, ogłoszony w urzędowym *Wiestniku Finansów*, że w Augustowskiem tylko wynajęcie żołnierzy do robót polnych zapobiegło pozostawieniu zbiorów na polu wskutek braku rąk roboczych. To samo na małą skalę miało miejsce w Garwolińskiem i w kilku innych miejscowościach kraju.

Bezradność więc nasza wiele tu winna, brak inicyatywy, brak możności ruchu wytworzyły to trudne do wiary położenie, że wobec straszliwych klęsk ogólnych nie wiemy, co począć i jak pomódz. Zaradzić tu może jedynie jakieś energiczniejsze zakrzątnienie się przedewszystkiem koło samouświadomienia, a następnie praca intensywna nad zorganizowaniem życia zbiorowego w granicach jak najszerszych. Odporność na klęski możliwą jest tylko przy uwzględnieniu środków zapobiegawczych siłami zbiorowemi ogółu ludności i sfer bezpośrednio zainteresowanych. Jeśli tego nie będzie, wszelkie paliatywy w rodzaju jałmużny okażą się zawsze zabawką wobec ogromu klęski.

Jak się traktuje u nas taką dorywczą działalność, możemy się przekonać choćby z przytoczonego w jednem z pism łódzkich postępku rządcy majątku Dobrowo pod Żychlinem, który, zgłosiwszy się do pośredniczącej w wynajmie robotników kancelaryi parafialnej i zamówiwszy tam na drugi dzień kilkudziesięciu robotników, więcej już się po nich nie zjawił, choć w na-

---

kobiety. Co innego jednak wiedzieć, że kocha, a co innego zgadnąć, kogo kocha. Wielokrotnie próbowałem zgadywać, lecz nadaremnie. Raz nawet myślałem, że mnie to szczęście spotkało— nie od Elsy wprawdzie — lecz omyliłem się. Wiem jednak, że te kobiety, w których oczach jest miłość, są lepsze, niż te, w których jej niema.

Fitz pierwszy przerwał milczenie.

— Nie pakujcie tego wszystkiego do jednej skrzynki — rzekł, wskazując szereg butelek, stojących na ziemi. — Rozdzielmy te zapasy na kilka części, żeby strata jednej lub dwu pak nie przyniosła zbyt wielkiej krzywdy.

— Kiedy jedziesz? — przerwałem mu szorstko.

Fitz był jednym z tych niewielu ludzi, bez których życie stawało się dla mnie pustka.

— Mam rozkaz wyruszenia dziś w nocy, z jednym żołnierzem — odpowiedział.

— O której?

— Za pół godziny.

— Odprowadzę cię — rzekłem.

Odwrócił się i poszedł do swojej kwatery, która była tuż obok mojej. Jeszcze nie skończyłem przygotowań, kiedy wszedł Charlie, przebrany w stare suknie. Ja zaś nie pomyślałem jeszcze o zmianie stroju wieczorowego na roboczy—i to też maleńki rysik.

— Może wam pomódz? — zapytał. — W głosie jego czuć było rozdrażnienie.

— Naturalnie. Trzeba zapakować tę skrzynkę. Butelki owinąć słomą.

Zabrał się do roboty, jak zawsze, powoli i niedbale.

— Czyż to nie wstyd? — mruknął po chwili.

— A wstyd — odrzekłem.

Zdaje się, że nie odczuł sarkazmu w moich słowach.

— Wystrychnęli mię na durnia! Nie mógł to ojciec puścić mię na los szczęścia?

Na to pytanie nie umiałem odpowiedzieć, więc milczałem. Wydawszy ostatnie rozporządzenie, zostawiłem mu resztę pakowania i wyszedłem.

W niespełna pół godziny obaj z Fitzem siedzieliśmy już na koniach. Kilku kolegów wyszło pożegnać nas z cygarem w ustach: Jeden zawołał „życzę szczęścia“. I zaśmiał się lekko, jak gdyby zawstydzony nawet tym nieznacznym objawem zainteresowania. Wszystko zresztą było w porządku rzeczy, w zgodzie z naszem przeznaczeniem zawodowem. A ileż to razy Fitz i ja żegnaliśmy obojętnie tych samych ludzi, wyjeżdżających na spotkanie śmierci. Teraz przyszła kolej na niego.

Towarzyszący Fitzowi żołnierz Sikh oczekiwał nas pośród skweru — wspaniale odcinając się na tle blasku księżycowego. Twarz długa, oczy głębokie, wąs szpakowaty. Zwrócił konia i ruszył o dziesięć kroków za nami.

W ciągu różnorodnych okoliczności naszego życia nawykliśmy obaj jeździć prędko. I tej nocy puściliśmy konie w skok przez kraj uśpiony, woniejący, światłem żółtego miesiąca zalany. Wiedzieliśmy przytem, że cholera pod namiotami jest, jak ogień w składzie drzewa. Można całą aptekę wypotrzebować bez żadnego skutku, jeśli się daje nieumiejętnie. A Fitz przedstawiał umiejętność, każda więc chwila stanowić mogła o jakiemś życiu ludzkiem. Konie nasze szły równym biegiem. Księżyc przyświecał nam z tyłu i z przodu, rzucając cień każdego na piasek, w którym kopyta zwierząt zapadały się z głuchym chrzęstem. Jakieś uczucie rozweselenia zaczynało w nas wstępować od tego pędu, tego blasku nocy indyjskiej. Ja zazdrościłem mu już prawie i lękałem się chwili, w której przyjdzie mi

znaczonym terminie 500 przeszło kandydatów czekało na upragnioną pracę.

Czy takie fakty byłyby możliwe przy jakiemkolwiek urządzeniu, regulującem podaż i popyt na pracę i pośredniczącem w wynajmie robotnika? Czy wreszcie sama klęska bezrobocia przybrałaby tak potworne rozmiary? A przecież nie jedna ta kwestya pali nas swoją ciągłą aktualnością i gwałtownie domaga się rozwiązania.

W związku z koniecznością unormowania pośrednictwa w poszukiwaniu i dawaniu pracy stoi ta dla ogółu inteligencyi nieszczęśliwa kwestya służby domowej. W Łodzi np., jak donoszą *Goniec Łódzki* i *Rozwój*, z powodu niesłychanego napływu młodych dziewcząt, pozbawionych zajęcia, kręci się mnóstwo kandydatek na sługi, ofiarując swą pracę za niebywale nizkie wynagrodzenie, często za życie i mieszkanie. Korzystając z tego, rozwinęły też tam energiczną działalność t. zw. „rajfurki," uprawiające obok stręczenia służby także i handel żywym towarem, niemożliwie wyzyskując młode, niedoświadczone dziewczęta. *Rozwój* wzywa panie łódzkie do bojkotowania „rajfurek" i omijania ich „giełdy." Czyżby do tego aż nawoływać potrzeba było?

A zresztą, może mam zbyt optymistyczne pojęcie o paniach i inteligencyi łódzkiej wogóle. Do tego powątpiewania upoważnia mię dziwna tolerancya choćby takiej szkoły prywatnej, której właściciel dla oszczędności wymawia lekcye wszystkim nauczycielom, a następnie przez faktora traktuje z nimi o przyjęcie zajęć z powrotem, lecz w cenie o 40—50% niższej; dobrym również obrazkiem kulturalności inteligencyi tego miasta jest kilkoletnia już popularność pewnego „pana," co za 200 rb. przyjmuje na siebie policzki, odebrane przez innych, którym to nie na rękę, utrzymuje się z urządzania „zabaw" z damami oraz z przemilczania drażliwych spraw itd. Fakty te — powiada *Goniec Łódzki* — znane są wszystkim, a pomimo to ów pan cieszy się ogół nie szacunkiem, ma moc przyjaciół i znajomych we wszystkich sferach łódzkich, a w ostatnich czasach zasłynął jako „arbiter" w sprawach honorowych. Szczytem zaś kultury inteligencyi łódzkiej było chyba pożegnanie pewnego lekarza, udającego się na Daleki Wschód, urządzone przez liczne grono kolegów i znajomych, a charakterem swym tak uderzająco pornograficzne, że nawet w Łodzi wywołało niesmak.

Przenieślszy się ze zdenerwowanej, zadymionej Łodzi do więcej sielskiego Płocka, mamy i tam niezbyt świetne obrazki kulturalności wśród kwiatu naszego społeczeństwa. *Echa Płockie* bardzo żałośnie skarżą się na bezwzględność zebranych podczas jednej z zabaw publicznych. Osoby, niemające biletów, pozajmowały miejsca i kłóciły się ordynarnie z posiadającymi je; panie, nieczułe na prośby innych, rozpościerały parasolki, zasłaniając ludziom widok na scenę itd., jednem słowem publiczność inteligentna okazała bardzo niewiele inteligencyi.

Ten sam organ płocki zwraca uwagę na inną jeszcze stronę naszej kulturalności — nietakt w życiu społecznem. Jako przykład podaje korespondent *Ech* z Sierpskiego pana X., podobno bardzo zasłużonego i piastującego honorowo wyższe godności społeczne. Pan ów w Spółce rolniczej z zasady mówi „ty" do należących do niej włościan. Jak zapewnia wzmiankowany korespondent, pan X. nie jest wyjątkiem w swojej okolicy. Stronom interesowanym taka rzewna patryarchalność bynajmniej się nie podoba.

Już to na wielkie wyrobienie nie możemy narzekać, szczególniej zaś w sprawach życia społecznego i działalności zbiorowej. Na szpaltach tych samych *Ech* znajdujemy znowu napiętnowanie zbytniej drażliwości wielu członków instytucyj społecznych, uprawiających przedewszystkiem kult swego „ja" i przez to szkodzących interesom ogólnym. Zupełny brak poczucia obowiązków jednostki wobec ogółu panuje bezkarnie zarówno wśród inteligencyi, jak i warstw ludowych — tam bodaj jeszcze gorzej. Jak to poczucie stoi w miastach, można widzieć z faktu, że tak pożyteczna i doniosła instytucya, jak „Kropla mleka" w Łodzi, musiała zmniejszyć chwilowo swą działalność dla niedostatecznej ilości butelek, których *tysiące* nie zostały zwrócone.

O świadomości obowiązków zbiorowych u chłopa, nawet mieszkającego w pobliżu ośrodków przemysłowych, a więc inteligentniejszego, niech da pojęcie obrazek przytoczony przez *Kuryer Sosnowiecki*.

Między Porajem a Myszkowem paliły się torfowiska, stanowiące własność gromadzką; aby przerwać pożar, dość było rów wykopać, ale tego nikomu nie chciało się zrobić. Chłop, zapytany o przyczynę takiej obojętności odpowiedział lakonicznie:

— A niech się pali — to nie moje, tylko gromadzkie!

I to wszystko dzieje się w czasach, kiedy na całym świecie cywilizowanym zbiorowość jest rzeczą jak najzupełniej normalną, bez której trudno byłoby wyobrazić sobie życie.

Nie chcąc kończyć dzisiejszych „Rachunków" narzekaniami, muszę zaznaczyć i w naszem życiu społecznem kilka faktów natury dodatniej. A więc przedewszystkiem *Czytelnia dla wszystkich*, a za nią i *Tydzień* piotrkowski zwróciły uwagę na zaniedbaną u nas kwestyę samorządu gminnego, zamieszczając wyjaśniające, treściwe artykuliki w tej sprawie i nawołujące do czynnego udziału w życiu gminy. Pożądanem byłoby tylko, azeby prasa prowincyonalna tej stronie naszego życia więcej poświęcała uwagi, wyjaśniając kwestye sporne, zamieszczając obszerniejsze korespondencye z przebiegu zebrań gminnych i gromadzkich, a nadewszystko piętnując panującą w całym kraju ospałość w życiu zbiorowem i zachęcając do czynnego i większego zainteresowania się sprawami publicznemi.

Pocieszającym również objawem jest wzrastające powodzenie odczytów dla warstw robotniczych. Niedawno odczyty takie z dziedziny hygieny zapoczątkował w Tomaszowie Rawskim dr. Sękowski. Na każdym z dwu, jakie dotychczas miały miejsce, było około 150 słuchaczów. Niestety, z powodu braku odpowiedniego lokalu zostały zawieszone do jesieni. Oby tylko nie na dłużej.

J. Dąbrowski.

TOWARZYSTWO
wyższych kursów wakacyjnych.

Cicho, bez uciekania się do grzmiących fanfar reklamy, dokonano tego lata dzieła ogromnej doniosłości. Dzięki energicznym zachodom garści jednostek dobrej woli Galicya zdobyła nową instytucyę użyteczności publicznej pierwszorzędnego znaczenia. Mówię tu o „Towarzystwie wyższych kursów wakacyjnych" i o zorganizowanym przez nie wolnym uniwersytecie w Zakopanem. Świeżo właśnie zakończone zostały pierwsze dwie serye wykładów zakopiańskich, to też już obecnie można wydać sąd o działalności „Towarzystwa wyższych kursów wakacyjnych" i ocenić jej znaczenie.

Inicyatorowie Towarzystwa mieli na myśli stworzenie takiej instytucyi, której zadaniem byłoby podniesienie poziomu wiedzy i myśli krytycznej w społeczeństwie

---

konia zawrócić i odjechać spokojnie do domu, zostawiając Fitza samego na resztę jego wędrówki.

Konie niosły nas równym, rytmicznym biegiem spuściwszy łby, piersią podawszy się naprzód, z tem rozumnem odczuciem naszej woli, które tak zjednuje im serca ludzkie. Spoglądałem z ukosa na Fitza i czekałem, aż zacznie mówić. Ale on patrzał, utkwiwszy wzrok przed siebie, i zdawał się pogrążony w myślach.

— A wiesz — odezwałem się nakoniec — żeś się staremu źle przysłużył. Jeśli nawet wrócisz, nie daruje sobie tego nigdy. I żadnemu z nas nie spojrzy już prosto w oczy.

— Trudno — odrzekł Fitz — Cała rzecz... mówił, jak gdyby szukając słów odpowiednich. — „Jeśli — kończył prędko — nie wrócę, nie pozwól, żeby *ktokolwiek* pomyślał, iż pojechałem, bo mi było wszystko jedno, bo nie dbałem o życie. Zmuszono mię do tego. Proszono, żebym się podał na ochotnika.

— Bardzo dobrze — odrzekłem zamyślony, usiłując odgadnąć tego *kogokolwiek* i tego, kto mógł prosić o taką ofiarę z cudzego życia. Ostatniego może się dopuścił brygadier, bo chyba nie Elsa Matheson. Choć trudno doprawdy zrozumieć kobiety.

Nie odezwałem się jednak ani jednem słowem otuchy. To nie nasza rzecz. My pełnimy zawsze swój obowiązek pod tchnieniem śmierci, pod ogniem boju, więc obojętniejemy na niebezpieczeństwo lub uczymy się może cenić je według rzeczywistej jego wartości i nie czuć strachu.

W następnej chwili mówiśmy już o rzeczach naszego zawodu. Ja znałem się lepiej z cholerą, niż Fitz, więc rozmowa o niej pochłonęła nas wkrótce. Przekonałem się, że tylko w książkach ludzie umieją korzystać z ostatnich chwil. Śmierć była towarzyszką moją przez całe me życie, a nie zdarzyło mi się, żeby ktokolwiek z umierających na mych rękach, powiedział, konając, co powinien był powiedzieć. Jedni kończyli z żartem na ustach, inni ze słowem pospolitem, bo pospolitym w gruncie rzeczy jest każdy człowiek, tak w życiu, jak przy śmierci.

Kiedy miałem już wracać, Fitz nie pożegnał mię żadnem takiem słowem, któreby zasługiwało na specyalne zapamiętanie. Do końca rozmawialiśmy o sprawach lekarskich. Wreszcie podaliśmy sobie ręce i ja zawróciłem. W pędzie spojrzałem raz jeszcze po za siebie, i w blasku wielkiego, podzwrotnikowego miesiąca zobaczyłem Fitza pochylonego w siodle, dążącego na spełnienie posłannictwa miłosierdzia — w noc, w przyszłość nieodgadnioną. Za nim postępowała olbrzymia, milcząca, żołnierska postać Sikha.

W drodze powrotnej myśl moja zajęta była temi sprawami mej umiejętności, które wymagały natychmiastowej uwagi. Czy wypadało zażądać pomocy z Indyj? Cholera bowiem w Capoo mogła znaczyć cholerę w całym tym nieznanym kraju. Co zrobić z kobietami i dziećmi? Bo Żyd Wieczny Tułacz był w drodze i mógł zajść w nasze strony, wiodąc za sobą legendowe przekleństwo. Czyż miałem po raz trzeci spotkać się z tym strasznym wrogiem? Przyznaję, że sama myśl o tem zapierała mi oddech. Śmierć od kuli, od miecza nie jest straszna. Lecz kończyć, jak zwykły szewc, w łóżku, ginąć śmiercią prostaka — to więcej, niż boli.

(d. n.).

polskiem zapomocą szeregu wykładów, mających nietylko zaznajamiać z ostatniemi zdobyczami nauki, lecz przedewszystkiem z metodami badań naukowych, a przez filozoficzne traktowanie każdego przedmiotu — pobudzać słuchaczów do samodzielnych prac i studyów, pomódz im w wyrobieniu sobie poglądu na świat i w rezultacie stworzyć atmosferę, w której dojrzewają umysły wolne. W odróżnieniu od istniejących dotąd wyższych zakładów naukowych, kształcących słuchaczów w kierunku *zawodowym*, kursa wakacyjne w Zakopanem stanowią ognisko wiedzy niezależnej, dostępne dla każdego, kto po za studyami fachowemi, chce zaznajomić się z prądami i czynnikami umysłowymi, wolnymi od tendencyjności bądź w kierunku religijnym, bądź stronniczo-politycznym.

Kierując się temi zasadami, Towarzystwo postarało się o uzyskanie współpracownictwa wybitnych sił nauki polskiej, tak z pośród profesorów uniwersytetów państwowych, jak i z po za ich koła. Jednym z pierwszych, co się odezwali na wezwanie młodego Towarzystwa, był nieodżałowany prof. Piotr Chmielowski, któremu śmierć nie pozwoliła spełnić przyjętego zobowiązania. Z pomiędzy profesorów, zajmujących katedry uniwersyteckie, wzięli udział w wykładach zakopiańskich następujący: znakomity lingwista J. Baudouin de Courtenay wykładał o psychologii języka ze szczególnem uwzględnieniem psychologii języka polskiego, prof. Kazimierz Twardowski charakteryzował główne prądy w filozofii wieku XIX; prof. Karol Potkański mówił o wsi polskiej; prof. Ludwik Silberstein miał wykłady z dziedziny fizyki teoretycznej. Prof. Ludwik Bruner zapoznawał słuchaczów z hypotezami o jedności materyi. Resztę wykładów objęli uczeni tej miary, co Bolesław Limanowski („Rozwój przekonań demokratycznych w narodzie polskim“), Ludwik Krzywicki („Typy antropologiczne i solidarności społeczne“ oraz „Psychologia życia zbiorowego“), Adam Mahrburg („Zagadnienia bytu i stawania się“ oraz „Psychologia woli“), Kazimierz Krauz (Nowoczesny ruch społeczny jako drugie odrodzenie), dr. Kazimierz Mokłowski („Dwutorowość dziejów sztuki w Polsce“), dr. Zofia Daszyńska-Golińska (Podstawy polityki społecznej“), Wilhelm Feldman („O Żeromskim i Wyspiańskim“) Nie brakło też i sił młodszych, że wymienię tu Michała Sokolnickiego („Metody badań w historyi nowożytnej“), Wacława Sobieskiego („Historya reformacyi w Polsce“), Mieczysława Limanowskiego („Teorya powstawania gór w ciągu XIX w.“). Kilka osób nie mogło wywiązać się z przyjętego na siebie zobowiązania wskutek choroby (Jan Kasprowicz, Artur Górski, Stanisław Witkiewicz, Ignacy Radliński i paru innych.

Jak widzimy, dobór osób wykładających daje zupełną gwarancyę ścisłej naukowości wykładów, to też chyba tylko zła wiara mogłaby zarzucić nowej uczelni charakter dyletancki. Że wykłady zakopiańskie miały sporo luk i braków, to nie ulega kwestyi, ale te luki i braki mogą być usunięte jedynie w dalszem istnieniu instytucyi, kiedy wszyscy ci, komu leżą na sercu jej losy, dołożą starań, aby zapewnić jej wszechstronny rozwój normalny. Byt uniwersytetu jest już zapewniony, teraz chodzi tylko o spopularyzowanie go w jak najszerszych kołach społeczeństwa, o przysporzenie mu środków jak największych, o zjednanie dla niego sympatyi powszechnej. Ci, co brali udział w pracach „Towarzystwa“ czy to jako organizatorowie, czy to jako wykładający, sumiennie spełnili swój obowiązek, teraz kolej na ogół inteligencyi polskiej.

„Tow. wyższych kursów wakacyjnych“ składa się z członków zwyczajnych, wspierających, założycieli i honorowych. Otóż członkiem wspierającym może zostać ten, kto zobowiąże się płacić rocznie 20 koron na rzecz Towarzystwa, członkiem założycielem każdy, kto złoży jednorazowo 200 koron. Wzrost liczby członków obu kategoryj da Towarzystwu nietylko możność rozwinięcia działalności w kierunku uzupełnienia dotychczasowych braków, lecz pozwoli poczynić mnóstwo ułatwień, umożliwiających najuboższej młodzieży korzystania z wykładów. Tymczasem Towarzystwo“ posiada obecnie członków założycieli zaledwie — czterech, wspierających zaś tylko dwudziestu przy liczbie 538 członków zwyczajnych.

Dotychczas dochody Towarzystwa wynoszą 25,206 kor. 19 h., wydatki zaś 19,385 kor. 2 h. Czysty więc dochód wynosi - 5,321 k. 17 h. Wkładki członków dały — 3,251 kor.; wpisy — 6,212 kor.; opłata za wstęp od niecziłonków — 1,771 kor. 83 h. Honorarya prelegentów wyniosły — 4,785 k. 88 h.

Towarzystwo rozdało słuchaczom kursów wakacyjnych kwestyonaryusz, który gdyby nań odpowiedziało przynajmniej 80—90% słuchaczów mógłby mu dostarczyć bardzo ciekawych danych. Niestety dane te są nader niekompletne, gdyż na 456 słuchaczów i słuchaczek (245 i 211) odpowiedziało na kwestyonaryusz zaledwie 174 osób 82 mężczyzn i 92 kobiety — czyli 37%. W każdym razie i z tych odpowiedzi da się wyciągnąć garść wiadomości, posiadających pewną wartość. A więc przedewszystkiem dane, dotyczące wieku słuchaczy.

	Mężczyźni	Kobiety	Razem
do lat 20	18	16	34
od 21 do 25	36	30	66
od 26 do 30	12	17	29
od 31 do 35	7	10	17
od 36 do 40	3	9	12
od 41 i wyżej	5	4	9
bez podania wieku	1	6	7

Co do wyznania ogół słuchaczów rozpada się na następujące grupy:

	Mężczyźni	Kobiety
Rzymsko-katolickie	58	78
Mojżeszowe	17	10
[illegible]	[illegible]	[illegible]
[illegible]	[illegible]	[illegible]

Pod względem miejsca zamieszkania słuchacze pochodzą:

	Mężczyźni	Kobiety
z Królestwa Polskiego	46	66
Galicyi	17	5
Kraju Póln.-zachodniego	4	9
Głębi Rosyi	6	5
Zagranicy	4	2
bez podania	5	5

przyczem przypada na:

	Mężczyzn	Kobiet
Wielkie miasta	50	61
Miasta prowincyonalne	16	14
Wieś	9	11
Zakopane	5	1
Nieokreślone	2	5

Bardzo ciekawe są dane, dotyczące zawodu tak słuchaczy, jak i ich rodziców:

Zawód słuchaczy	Mężczyźni	Kobiety
Nauczyciele i nauczycielek	12	48
Wolne zawody	7	4
Studenci i studentki	37	1
Uczniowie	8	—
Urzędnicy handlowi i techniczni	8	7
Ogrodnicy i rolnicy	2	2
Rzeźbiarze	2	—
Nieokreślone lub niepodane	6	30

Zawód rodziców	Mężczyźni	Kobiety
Obywatele ziemscy	8	37
Urzędnicy	17	15
Wolne zawody	32	10
Przemysłowcy	6	5
Rzemieślnicy	2	—
[illegible]	—	3
Prof. gimnazyalni	—	2
[illegible]	[illegible]	—
Nieokreśl	8	20

Na zakończenie parę cyfr, dotyczących studyów dotychczasowych:

	Mężczyźni	Kobiety
Wyższe	41	7
Średnie	32	68
Domowe	1	11
Bez podania	1	6

Wszystkie te cyfry są tak wymowne, że prawdziwie należy żałować, iż tylko mniejszość słuchaczów zechciała odpowiedzieć na kwestyonaryusz.

Zupełne powodzenie, jakiem została uwieńczona pierwsza próba wykładów wakacyjnych, pobudziła Towarzystwo do rozpoczęcia kroków o wybudowanie własnego domu w Zakopanem, mogącego pomieścić dużą salę na wykłady oraz szereg mniejszych dla konwersatoryów, administracyi itd. Na ten cel zebrano już parę tysięcy koron w ciągu trwania wykładów i wydano specyalne bloczki, na które zapewne obficie będą wpływały drobne i większe sumy pieniężne, gdyż przyjaciół nowemu a tak sympatycznemu przedsiewzięciu nie zabraknie z pewnością.

Należy jednak zaznaczyć, że Towarzystwo posiada już i wrogów. Dwa głosy nieprzyjazne można na razie zaregestrować. Jeden pochodzi z łamów pornograficznego *Bociana* krakowskiego, drugi znajdujemy w narodowo-demokratycznem *Słowie Polskiem*. Oba głosy posiadają zupełnie jednakową wartość. *Bocian* rzuca się na osoby, pismak narodowo demokratyczny i na osoby i na kierunek w korespondencyi, w najwyższym stopniu tendencyjnej i kłamliwej. *Słowo Polskie* usiłuje zohydzić wobec publiczności działalność Towarzystwa i wartość naukową wykładów. Zestawiając zaś wykłady z prywatnymi odczytami, niemającymi z tamtymi nic wspólnego, fałszywie denuncyuje je jako ognisko działalności, zupełnie obcej nauce. Można więc oczekiwać i na przyszłoś ze strony narodowych demokratów nie gardzącej zadną bronią kontragitacyi w duchu tej korespondencyi *Słowa Polskiego*. A to wkłada na wszystkich uczciwych zwolenników nieskrępowanej myśli naukowej obowiązek energicznego zwalczania akcyi, płynącej z nieczystych pobudek, i spotęgowania energii w celu prostowania fałszów, rzucanych przez obskurantów wszelkiego rodzaju.

Leon Wasilewski.

Bezstronny pogląd na alkoholizm umiarkowany.*)

Umiarkowanie pijący.

Dążność do zwalczenia pijaństwa istnieje od tych czasów, gdy zaczęto pić.

W XV w. arcyksiąże Fryderyk austryacki, późniejszy cesarz Fryderyk III, założył zakon świecki przeciw „upijaniu się,“ Odznaką zakonu był krzyż złożony z dzbanków wina z obrazem Madonny pośrodku i z napisem: "Trzymaj miarę!“ po niemiecku: „Halt Mass!,“ co stanowi wyborny kalambur. Bracia zakonni pili umiarkowanie, bardzo regularnie i z powodzeniem współdziałali w rozszerzeniu zwyczaju picia.

W nowszych czasach zakładano wiele stowarzyszeń przeciw *nadużywaniu* napojów alkoholowych, ale zwyczaj picia wzrastał z niesłychaną szybkością.

Nasi dziadowie i pradziadowie pili, okolicznościowo upijali się, ale dopiero od lat kilkudziesięciu wino, wódka i piwo w Poznańskiem i w Galicyi stały się niezbędnemi przy każdem spotkaniu, przy

*) Odczyt wypowiedziany w Bendlakonie w Szwajcaryi 24 lipca r. b.

każdem jedzeniu. W Królestwie dopiero teraz obiło się to powszechnem, bo jeszcze niecałkiem zaraziło się ono tym umiarkowanym owocem cywilizacyi. — Wszystkie argumenty naukowe, wszystkie dowodzenia statystyczne świadczą, że alkohol, spożyty w jakiejbądź postaci, działa, jak trucizna, zaraz odurzając lub powoli, z biegiem lat rujnując ustrój. Ale przesąd jest silnym. Przesąd i zmysłowość nie dają widzieć prawdy. Nawet niejeden przedstawiciel nauki broni stanowiska umiarkowanych, którzy twierdzą, że wino i piwo są zdrowe, bo „wzmacniają i rozweselają.“ Oni zwracają uwagę tylko na swój stan podczas picia, ale uczucie depresyi, rozprzężenia i zmęczenia nerwowego, jakie wkrótce potem następuje, przypisują już innym przyczynom. Myślą, że jeśli nie było odurzenia, to już wszystko dobrze. Tymczasem jeśli się pije umiarkowanie, to i odurzenie musi też koniecznie pojawiać się przy sposobności. Kto tylko ma zwyczaj picia, ten może z pewnością powiedzieć, że przeżył już niejedno odurzenie. Ponieważ taż sama szklanka wina, ten sam kufel piwa, do których on przywykł, mogą wywołać podchmielenie w chwili, gdy nerwy są zbyt osłabione, gdy człowiek czuje się rozstrojonym. Jeżeli się płaci podatek złemu zwyczajowi dla względów towarzyskich, dla koleżeństwa, to wówczas niepodobna utrzymać własnej woli w tak wysokiem napięciu, aby nie uledz podchmieleniu. Umiarkowanie pijący powinien przypomnieć sobie wesołe chwile swego życia, niech przywoła w pamięci dawniej doznane odurzenia. Co za wstrętne uczucie względem siebie samego, co za poniżenie, co za zawstydzenie w stosunku do innych! Powinien też przypomnieć sobie, jak wyglądali jego najbliżsi w takich chwili, być może ci, których kochał, szanował, cenił—jego rodzice, nauczyciele, koledzy, kierownicy. Lepiej by było nie znać wcale odurzenia, tak samo, jak się nie zna wielu stanów chorobliwych i poniżających. Osłabienie woli nie jest temu tak bardzo winne, ponieważ wola człowieka nie bywa nieograniczenie silną i przy zbiegu niepomyślnych okoliczności może znaleźć się w tem położeniu, że ulegnie. Winien jest temu zwyczaj picia, który rozstawia pokusy w około umiarkowanie pijących. Trzeba ten zwyczaj usunąć. Tylko człowiek całkowicie wstrzemięźliwy nie bywa odurzonym. Tylko ten, kto na całe życie wyrzekł się alkoholu i stanowczo potępił zwyczaj picia, nie może się znaleźć w tym stanie upodlenia. Daleko łatwiej jest raz silnie wolę napiąć, niż opierać się codziennie pokusom i z każdym łykiem wina doznawać gorzkiego uczucia, że przez własne złe przyzwyczajenie stają się uwodzicielem innych.

„Prawie niepijący“ zapominają o tem, że komórki nerwowe są nadzwyczaj czułe na działanie alkocholu i nikt nie może obrachować, jaka minimalna jego ilość oddziała na ustrój nieszkodliwie w danej chwili. Pół kieliszka wina zazwyczaj nie wywiera wpływu podniecającego, ale taż sama ilość, spożyta przez osobę osłabioną nerwowowo lub podrażnioną, może ją nawet odurzyć. Wiemy, że działanie alkoholu, gdy się go w małych ilościach często używa, akkumuluje się, sumuje i zwyradnia komórki mózgu. Alkohol przenika do komórek rozrodczych, zwyradnia je i w ten sposób powoduje zwyrodnienie potomstwa. Ktoby chciał używać alkoholu bez szkody dla zdrowia, musiałby za każdym razem zanim pić zacznie, poddać się badaniu lekarza, rozebrać wino chemicznie, odmierzyć dokładnie jego ilość, jednem słowem postępować tak, jak to czynią ci, którzy przyjmują roztwory arszeniku przy jedzeniu. Ta silna trucizna bywa czasami używana z porady lekarza w ciągu całych miesięcy w dawkach ściśle odmierzanych. Trująca własność alkoholu nie występuje tak jawnie, jak trująca własność arszeniku, jego działanie zwyradniające zostaje dla oka poniekąd ukrytem i nauka sama się spóźniła, ona dopiero teraz zaczęła uznawać alkohol za silną truciznę. Była też obałamuconą zwyczajem picia.

Kto nie jest ślepym na dowodzenia nowoczesnej wiedzy i statystyki, kto może myśleć bezstronnie, kto chce pracować dla odrodzenia narodu, ten nie będzie próbował płynąć przeciw prądowi prawdziwie szlachetnemu, który zwycięży. — *My wiemy*, że prąd etyczny abstynencyi zwyciężyć musi. Codziennie przychodzą nowe wieści o tem. Tak np. słyszymy teraz o zaniepokojeniu wśród handlarzy piwem i winem w Niemczech i w Szwajcaryi, spowodowanem materyalnemi stratami pod naciskiem wstrzemięźliwości. Nowoczesny kierunek etyczny, łamiący złe, przesądne zwyczaje, torujący nowe drogi obyczajom społeczeństw — nie da się niczem powstrzymać.

Jednakże w piciu musi być coś odpowiadającego potrzebom człowieka, jeżeli się ten zwyczaj tak rozpowszechnił. Jeden z największych filozofów powiedział całkiem słusznie, że jeśli jakieś mniemanie rozchodzi się szeroko i utrzymuje przez długie bardzo czasy, to musi ono zawierać w sobie jądro prawdy objektywnej, chociażby powierzchownie wydawało się najbardziej bezsensownem. A więc i w zwyczaju picia kryć się musi jakaś prawda. Sprobójmy ją odszukać.

Wino, jak mówią, „rozwesela, pokrzepia, dodaje siły, orzeźwia,“ piwo „uspakaja, sprawia ulgę sercu“ itd. Niezwłocznie po wypiciu następuje uczucie przyjemne, tak samo jak po użyciu wielu narkotyków, alkohol jest bowiem typowym narkotykiem.

Używanie alkoholu jest zwyczajem narodów kultury europejskiej. U Azyatów mędrcy, ustawodawcy i prawodawcy religijni poznali już bardzo dawno szkodliwość alkoholu i napiętnowali go jako grzech. Z tego powodu większa część ludności nie zna alkoholu, ponieważ sądzi, że napoje alkoholowe pochodzą od dyabła. Okazało się jednak, że i śród tych narodów są w użyciu silne narkotyki jak: opium, haszysz. Jeżeli weźmiemy pod uwagę ludy np. afrykańskie, to przekonamy się, że wszędzie panuje zwyczaj używania środków „rozweselających,“ „dających siłę“. I gdyby zeszli się razem: Polak, umiarkowanie pijący, Chińczyk umiarkowany palacz opium i Tatar, umiarkowanie używający haszyszu, to mogliby sobie podać ręce.

Jednem słowem ludzie na całej ziemi chcą się rozweselać jak najczęściej, zapominać o dręczących ich myślach, nieszczęściach, chcą używać i szukają sposobów do osiągnięcia tego celu, bez względu na szkody jakie stąd dla nich powstać mogą i dla ich potomstwa. *Szukają podniet i odurzenia.* Najprostszemi i najłatwiej stosować dającemi się środkami są te, na których użycie pozwala prawodawstwo i opinia publiczna.

Oto jest prawda objektywna, którejśmy szukali. Nie możemy dla braku miejsca odpowiedzieć na wiele pytań, cisnących się przy jej rozpatrywaniu, lecz postaramy się ująć ją u samej jej podstawy.

(D. n.).

A. Wróblewski.

Kongres w Amsterdamie.

Wśród licznych kongresów międzynarodowych, które obradowały tego lata, zasługuje na uwagę zjazd działaczy społeczno-demokratycznych w Amsterdamie. Trwał od 14 do 19 sierpnia. Przyjęli w nim udział liczni przedstawiciele różnych narodów. Z Anglii przybyło 101 delegatów (34 od „Sociale Democratic Federation,“ 31 od „Independant Labor Party,“ 5 od „Fabian Societes“ i 26 od związków zawodowych); z Francyi 89 del., z tych 44 należy do partyi Vaillant-Guesde, 39 jest zwolennikami Jaures'a i 6 Allemane'a („Parti ouvrier révolutionnaire“). Trzecie miejsce zajęły Niemcy z 66 delegatami, dalej Belgia—38, Holandya — 33 i inni.

Z Niemiec przybyli: Bebel, Bernstein, Kautzki, Molkenbuhr, Pfankuch i in.; z Francyi: Jaurès, Jules Guesde, Allemane, Viviani, Vaillant i in.; z Austryi: Adler, Pernerstorfer, Daszyński, Nemec; z Włoch: Ferri, Cabriani; z Anglii Keir Herdie i Hyndman. Japonia miała swego przedstawiciela w osobie Katajamy.

Porządek obrad obejmował 6 punktów. Najgłówniejszym był, dotyczący kwestyi taktyki. Tu nastąpiło starcie się prądu rewizyonistycznego i antirewizyonistycznego z Beblem na czele. Każda kwestya, podnoszona na kongresie, była naprzód rozpatrywana przez komisyę, która przygotowywała projekt rezolucyi dla pełnego posiedzenia.

Nad punktem wspomnianej kwestyi taktyki zdania się żywo starły w komisyi, która obradowała przez 5 dni. Adler i Vandervelde, chcąc złagodzić spór, próbowali innej formy rezolucyi. Zarówno drezdeńska jak i ten projekt kładą akcent na cel ostateczny i na niezbędność ścisłego trzymania się zasady walki klas. Po długich debatach większość komisyi przechyliła się na stronę Bebla. Kwestya ta zajęła całe pełne posiedzenie. Odbył się istny pojedynek na słowa między Jaurèsem i Beblem. Pierwszy kładł nacisk na różnicę warunków, w których każda partya działa. Inne narody nie posiadają stronnictw politycznych liberalno-demokratycznych, z któremi partye robotnicze mogłyby współdziałać. Jego stronnictwo przyczynia się do wielu ważnych reform i ma wielki wpływ na sprawy publiczne, podczas gdy inne pomimo pozornej potęgi są w gruncie dość słabe. Bebel w odpowiedzi swojej podkreślił przecenianie ustroju współczesnej rzeczypospolitej i bił głównie na to, że udział w rządzie burżuazyjnym lub stałe popieranie ministeryum burżuazyjnego pociąga za sobą konieczność odstępstwa od zasad i stałych kompromisów, nie licujących z celem ostatecznym. Zebranie nieznaczną większością wypowiedziało się za rezolucyą drezdeńską.

Drugim punktem była kwestya kolonialna i kwestya emigracyi i imigracyi. Tu kongres wypowiedział się przeciw wszelkim środkom zabraniającym, strajk powszechny uznano za niemożebny i przyjęto rezolucyę ostrzegającą przed propagandą anarchistów. Oddzielny punkt na żądanie delegatów angielskich poświęcono sprawie trustów. Na zasadzie zdobytego doświadczenia wypowiedziano się za nieprzyjmowaniem udziału w ruchu, mającym na celu agitacyę przeciw trustom.

Wśród reszty uchwał, mniejsze mających znaczenie, zasługuje na wzmiankę rezolucya, dotycząca ubezpieczenia robotników. Aby zapobiedz wielu nieszczęśliwym wypadkom nędzy i głodu, należy dążyć do powszechnego ubezpieczenia robotników.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Powrót do człowieka.

Ludzkość co pewien czas uczuwa, że wyrosła ze starych form życia i myśli, a wtedy dla wytworzenia nowych zaczyna zdejmować świeżą miarę z duszy człowieka. Rzecz dziwna, wszystko, co zrobiono na ziemi, zrobiono dla nie-

go, a jednakże jest on ciągle udręczoną ofiarą tej rozległej i uorganizowanej troski. Bo najdoskonalsze urządzenia z czasem starzeją się, umierają, chociaż zwykle długo istnieją, jak niepogrzebane, zabalsamowane lub nieubezpieczone od rozkładu trupy. Duch, czyli człowiek, bezpowrotnie je opuścił, pozostawił w nich tylko jego zatarty odcisk. Oglądając starą zbroję, pytamy: jak można było ją udźwignąć, poruszać się w niej i walczyć; z tem samem zdziwieniem patrzymy na przeżyte instytucye, nie pojmując, jak one mogły wystarczyć potrzebom ludzkim. Ale ci, którym ręce już do tych narzędzi przyrosły lub którzy z używania ich ciągną korzyści, nie mogą również zrozumieć, ażeby je kiedykolwiek zastąpiono innemi. Na tej właśnie sprzeczności przekonań i dążeń odnawia się ciągle walka społeczna, która jest nieprzerwanym ruchem rozwoju i rodzicielką duchowych ras ludzkich.

Jest to zadaniem bardzo trudnem, ale też bardzo ważnem dostrzedz oś, na której obraca się rozpędowe koło chwili. Wtedy bowiem dopiero oderwane i napozór różnorodne objawy łączą się i spajają w jedno wiązanie, w którem to koło rozdziela części swej siły. Chwila obecna ma niewątpliwie odrębne znamiona. Ale stojąc śród wiru jej zdarzeń, doznajemy takiego wrażenia, jak śród tumanu, który niesie najrozmaitsze, po drodze zabrane przedmioty. Czy jest związek między kurzem, liśćmi, zeschłą trawą, które wicher razem pędzi? Jest — wicher.

Otóż zdaje mi się, że w łonie naszej doby zabiło znowu mocniej pragnienie przykrojenia życia na miarę człowieka — chęć zniszczenia starego szablonu, w którym on już się nie mieści i wytworzenia nowej formy, która znowu kiedyś stanie się starym szablonem. Artyści twierdzą, że dotychczasowi ludzie w sztuce są manekinami, że trzeba do niej wprowadzić prawdziwych. Więc wchodzą w długiej procesyi nieznane dotąd postacie modernizmu, dekadentyzmu, secesyonizmu, upiory sennych lub chorobliwych marzeń, widma słoneczne i mroczne, duchy piękne i potworne — a każde śpiewa, krzyczy lub szepcze: jestem człowiekiem. Mniej twórczo i widocznie, ale również objawia się ten prąd w innych dziedzinach życia. Nad czem biada przyciśnięty kłopotami ziemianin? Nad tem, że dla Towarzystwa kredytowego, które mu udzieliło pożyczki, nie jest człowiekiem, lecz papierem wartościowym. Na tym papierze napisano, że właściciel pewnego skrawka ziemi jest odpowiedzialny pieniężnie do jakiejś wysokości, a po za tem instytucya kredytowa nie chce o nim nic wiedzieć — ani o jego charakterze, ani o jego losach. Czy on jest uczciwy, czy łotr, czy mu się powodzi, czy go zjadają klęski, to dla niej zupełnie obojętne. A gdyby się nawet przypadkiem dowiedziała, że jej dłużnik kona z głodu, że w dniu egzekwowania należności odbędzie się pogrzeb całej jego zmarłej na cholerę rodziny — nie zrzeknie się pretensyi i nie odwoła terminu. Bo przecież ona nie ma do czynienia z człowiekiem, lecz z zastępującym go papierem.

Bardzo łatwo możemy sobie wyobrazić wypadek, w którym ktoś wziąwszy pewną sumę pieniędzy, nie byłby obowiązany jej oddać wierzycielowi. Tymczasem kodeks nie wyobraża sobie takiego wypadku wobec dowodu istnienia długu. Gdyby sędzia rozstrzygał zatargi międz ludźmi, uwolniłby każdego nędzarza od zwrotu pożyczki bogaczowi; ale ponieważ on rozpoznaje prawa martwego kwitu do cudzej kieszeni, czyli ponieważ każda sprawa cywilna jest dla niego zwyczajnem zadaniem arytmetycznem, więc on ją rozstrzyga według stałych reguł matematycznych. Mówiąc: 2 odjęte od 5 pozostawia w reszcie 3, nie badamy, czy 3 jest lepsze lub gorsze od 2, czy ono po tej operacyi będzie cierpieć lub cieszyć się. Kupiec, któremu zaprotestowano weksel i ogłoszono bankructwo, może być niewinnym swego upadku i bardzo nieszczęśliwym, ale ucieleśniony w kawałku papieru z własnoręcznym podpisem staje się rzeczą martwą, niebudzącą najmniejszej litości. Wogóle „dokument,“ ten najważniejszy środek dowodowy, ten miecz przecinający wszelkie wątpliwości prawne, jest może największym i najzuchwalszym z kłamców świata. Gdyby policzono, ile razy on był głosem prawdy, a ile razy świadomem fałszerstwem, zeznaniem krzywoprzysiężnem przyjaciela, krewnego lub kumoszki, świadectwem wymuszonem lub kupionem, przekonalibyśmy się, że na jego czole więcej odcisnęło się hańby, niż dumy. Co się robi z człowiekiem przedstawionym w takiem oświetleniu? Znika on zupełnie, pozostaje tylko jako jego obraz mozajka sprzecznych, często wzajemnie wyłączających się „dokumentów.“

Jest młody chłopiec, który jednego dnia nie nauczył się lekcyi, bo go bolała głowa, drugiego nauczył się jej starannie, a trzeciego znowu nie umiał, ale trafnie odpowiedział w szkole, bo mu kolega podszepnął. Jego wartość umysłowa wyraża się formułą stopni: 1+5+3. Czy ona daje nam o nim bodaj przybliżone pojęcie? Bynajmniej. Można z całej ludzkości wybrać ze 20 milionów chłopców najrozmaitszego uzdolnienia, którzy dadzą się wsadzić w tę samą formułę. A jednakże szeregi tych, w znacznej części całkiem przypadkowych cyferek są podstawą cenzur, świadectw, patentów, dyplomów, tytułów, urzędów i praw obywatelskich! Nam się zdaje, że w dyplomie naukowym odfotografowany jest mózg jego posiadacza, a tam tylko zaznaczony jest ostateczny rezultat jego stawek na loteryi szkolnej. W tym „dokumencie“ nie widzimy wcale człowieka, lecz pamiątkę jego zdarzeń egzaminowych, równie mało wymownych, jak zasuszony kwiatek lub wypchany niedźwiedź. Bo przecie i ten, kto zabił niedźwiedzia, niekoniecznie musi być odważnym i celnym strzelcem.

Tegoczesna ludzkość żywi bałwochwalczą cześć do „papieru,“ który w jakikolwiek sposób — jako paspotr lub poemat — odtwarza człowieka. A w ciągu wieków tyle się nagromadziło owych „papierów,“ „dokumentów“, które przeplotły się przez wszystkie stosunki ludzkie! Co przy końcu XVIII stulecia brzmiało hasłem powrotu do natury, to dziś wyraża się hasłem powrotu do człowieka. Państwa przechowywują starannie pierwowzory miar i wag, z któremi od czasu do czasu porównywają i sprawdzają będące w powszechnem użyciu. Takim oryginałem miar i wag społecznych jest człowiek, jako ich sprawdzian. Wszelkie instytucye, które nieodpowiadają jego naturze w danej chwili rozwoju, tracą racyę bytu. Po za nim niema dla nich uprawnienia.

I oto dziś dokonywa się jeśli nie przemiana, to rewizya życia społecznego, o ile ono pozostaje w zgodzie z prawami i potrzebami człowieka. Jest to epoka rozbijania szablonów, odrzucania zużytych komunałów i odczłowieczonych schematów, jest to może tylko szukanie form nowych, ale z silną odrazą do starych. Ludzie zaś nim zaczną szanować przeszłość, muszą ją wprzódy znienawidzieć, bo dopiero wtedy staje się ona przeszłością. I właśnie dlatego obecna fala dziejów zawiera w sobie tyle nienawiści, że z nią przetacza się ogromna masa urządzeń społecznych, które straciły wartość dla teraźniejszości, tj. dla człowieka.

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

Lester F. Ward

prof. Ludwika Gumplowicza.

Nawet wśród tych, którzy porzucili zarówno teoretyczne, jak racyonalistyczne pojmowanie dziejów, którzy w ludziach nie widzą „sprawców“ historyi i razem z Haecklem, jako moniści czystej wody, przysięgają, że to samo prawo przyrody kieruje ruchem planet, co powstawaniem i upadkiem państw, możebne są przecież jeszcze dwa różne odcienie przekonań. Jeden przyrodnik-monista wierzyć będzie, że proces dziejowy“ pozostanie wiecznie taki sam, bo przecież „procesy przyrody swojego charakteru nie zmieniają.“ Drugi zaś przy swoim naturalizmie i monizmie, uważając też właśnie człowieka za jedną z sił przyrody i wiedząc z doświadczenia, że na tę siłę wychowaniem i kształceniem wpłynąć można, wierzy, że rozwój ludzkości da nam doskonalsze urządzenia społeczne. Pierwszych nazywamy pesymistami, drugich optymistami.

Otóż byłem zawsze zdania, że ludzie optymistyczni w swym poglądzie na świat są za mało przyrodnikami, że naiwną jest ich wiara w możebność zmienienia praw społecznych, wieczystych i równie nienaruszonych, jak te, które kierują krążeniem planet. A ponieważ zdanie to otwarcie wypowiadałem, więc mi się zdarzyło, że skrajni radykaliści nazwali mię nietylko pesymistą, ale nawet cynicznym pesymistą. Co gorzej! Pewnego dnia staje przedemną prawdziwy, dzielny przyrodnik, z zawodu geolog, a najwybitniejszy przytem socyolog Ameryki, Mister Lester Ward i tłomaczy mi, że jestem w błędzie, że proces społeczny, odbywający się przy pomocy umysłu ludzkiego, będącego również siłą natury, z łatwością wejść może — wszedł już nawet — na drogę zcałkowania, integracyi społecznej, która wszystkim ludziom da szczęście i dobrobyt.

Gdy przed laty w jego „Dynamic Sociology“ przeczytałem, że stosowana socyologia jest jeszcze w powijakach, że musi przejść dopiero przez tę fazę rozwoju, udoskonalenia odkryciami i wynalazkami, którą nauki przyrodnicze mają już po za sobą, by podobnie, jak technika, stworzyć stan społeczny, umożliwiający ogólny dobrobyt — wzruszyłem ramionami. Znowu idealista — pomyślałem sobie — który nie odróżnia należycie wiedzy od sztuki. Człowiek może wiele rzeczy zrobić i przerobić, samego siebie zmienić jednak nie potrafi. Poprzestać musimy na *poznaniu* ludzkości, bo nie wszystko może być przedmiotem wiedzy stosowanej, sztuki i techniki, a nadewszystko ludzkość sama. I praca Warda, której podtytuł brzmi „socyologia stosowana“ niezdołała wpłynąć na zmianę mych przekonań, choć zdumiewała mię śmiałością takich np. zdań „że żyjemy w okresie kamiennym sztuki państwowej,“ że „w polityce jesteśmy jeszcze dzikimi.“ Ach, mówiłem sobie nieraz, mój przyjaciel w Waszyngtonie jest bardzo myślącym człowiekiem, lecz niepoprawnym optymistą!

*) Artykuł niniejszy prof. Ludwika Gumplowicza drukowany był w nr. 516 tygodnika wiedeńskiego *Die Zeit* z dnia 20 sierpnia roku bieżącego. Podajemy go w dosłownem prawie tłomaczeniu, skracając o tyle tylko, by bez naruszenia jasności myśli, zastosować do rozmiarów naszego pisma.

Zdaje się, że sceptycyzm, wiejący z moich listów, natchnął tego człowieka, „nieznającego szlachetniejszego obowiązku nad rozszerzanie swych idej“ myślą odszukania europejskiego pesymisty w jego kryjówce, bo przybywszy jako delegat rządu amerykańskiego na kongres geologów do Wiednia, zrobił wycieczkę do mnie, do Gracu. I wnet zawrzała gorąca między nami walka. Już na tem miejscu chcę zaznaczyć, że nim się obejrzałem, szturmem zdobył me najważniejsze pozycye „pesymistyczne.“ Pożegnałem go po rozprawie, która pół dnia trwała, z uczuciem, że takiego olbrzyma myśli nigdy jeszcze w życiu nie widziałem. Odtąd czytałem też jego rzeczy z innem zupełnie wrażeniem. W prawdzie pozbyć się poglądu na świat, który jest wytworem długiego życia, nigdy chyba już nie można, lecz wyznaję, że miejsce zaufania w własne zapatrywania, a może w własną wyższość nad „utopistą“ zajęło uczucie, jeśli nie chwiania się, to zachwytu dla idealizmu ludzkości, do którego my europejczycy nie jesteśmy może wcale zdolni. A teraz do rzeczy. Moją najważniejszą pozycyą była istota procesu przyrodniczego. Że rozwój społeczny, dzieje ludzkości są procesem przyrodniczym, na to godziliśmy się obaj. Ale Warda pojmowanie istoty tego procesu jest wspaniałe, u nas nigdzie nienapotykane. Przytaczam tutaj własne jego słowa.

Nasze wyobrażenie istoty procesu społecznego, mówi mniej więcej Ward, jest fałszywe, bo czerpiemy je z obrazu rozwoju organicznego. W tem tkwi błąd Spencera i całej jego socyologii. W swojej biologii uczy nas Spencer, że ewolucya organiczna polega na zróżniczkowaniu i zcałkowaniu (integracyi). Rozwój organiczny mierzymy stopniami, do których mnożąc się dochodzą organy i struktury, by odpowiedzieć rozmaitym celom coraz to wyższego bytu. Miarodajnym jest przytem i stopień ich podporządkowania pod wpływ kierowniczy, coraz to doskonalszego systemu nerwowego i wszechwładną kontrolę najwyższego organu kierowniczego — mózgu. Oba te procesy, mianowicie mnożenie się organów i struktur, oraz ich podporządkowanie się, jako całość coraz to doskonalsza, władzy naczelnej, stanowią różniczkowanie i integracyę, tj. rozwój organiczny. Otóż Spencer broni zdania, że każde społeczeństwo ludzkie stanowi organizm analogiczny z organizmem zwierzęcym. Teoryę tę opiera na całym szeregu podobieństw, które skrzętnie odszukuje, ale wymija, ile może, objęcie systemu nerwowego tą samą analogią, choć funkcye parlamentu porównał z funkcyami mózgu w organizmie zwierzęcym, a organicznicy przykładają wielką wagę do tego porównania.

Otóż nie ulega najmniejszej wątpliwości, że integracya organiczna, wywołana jest przez system nerwowy, a w wyższych organizmach przez mózg. Bo części poszczególne nigdyby nie współdziałały harmonijnie w sposób korzystny dla interesów całego organizmu, gdyby nie istniał system nerwowy, kierujący naczelnie całym organizmem i spełniający rozkazy osobnika.

Podczas gdy Spencer kładzie wielką wagę na różniczkowanie, nie zatrzymuje on się wcale nad integracyą. A czemże jest integracya społeczna? Oczywiście pewnym systemem koordynacyjnym, który różnorodne organa społeczeństwa porządkuje i zmusza do harmonijnego współdziałania w interesie ogółu, ową siłą zatem, przeróżnie nazwaną i ukształtowaną, która jest sprężyną i przedstawicielem społeczeństwa. Socyologowie niechętnie posługują się w tym wypadku słowem „rząd,“ bo oznacza ono i owych ludzi, którym poruczono w danej chwili załatwianie pewnych spraw. Osoby te są tylko ślepemi narzędziami i z punktu widzenia socyologicznego nie mają żadnego znaczenia. Każda ich czynność jest czynnością społeczeństwa, tak samo jak czynność zwierzęcia lub człowieka jest czynnością całego organizmu pod kontrolą systemu nerwowego, kierowanego przez mózg lub gangliony centralne (ośrodki nerwowe).

Czy można wobec tego, przeprowadzając analogię między organizmem a społeczeństwem, mówić tylko o różniczkowaniu? Czy organizm społeczny jest tylko wysoce zróżniczkowanym zlepkiem organów i struktur bez siły zdolnej do zaprowadzenia wśród nich ładu i porządku, do nakłonienia do współdziałania w oznaczonym celu i poprowadzenia nimi w kierunku, sprzyjającym życiowym funkcyom organizmu? A taki wniosek możnaby wyciągnąć z socyologii Spencera.

Bo punktem wyjścia dla Spencera jest jawnie wyznawany, skrajny indywidualizm, nawskróś przesiąknięty manczesterstwem lat ubiegłych. Wtedy, jak dzisiaj jeszcze, indywidualizm bywał przeciwstawiany kolektywizmowi. Jest to zupełnie fałszywe. Z łatwością udowodnić można, że kolektywizm nie jest przeciwieństwem indywidualizmu, że się nietylko daje z nim pogodzić, ale nawet tylko przezeń osiągnąć. Brzmi to paradoksalnie, a jeszcze bardziej paradoksalnem się może wyda, że udowodnień tego twierdzenia chcę zaczerpnąć — w socyologii Spencera.

Broniąc swej tezy, stara się Spencer sprowadzić do minimum różnice między organizmem a społeczeństwem. Lecz jedna pozostaje — i to według niego zasadnicza: podczas gdy w ciele zwierzęcem tylko pewna, specyalna tkanka ma zdolność czucia, w społeczeństwie wszyscy jego członkowie niejako zatem wszystkie komórki zdolność tę posiadają...

Słuszne jest, że u zwierząt życie poszczególnych części składowych ginie w życiu całości, bo tylko całość ma świadomość cierpienia i szczęścia. Wprost przeciwnie w społeczeństwie ludzkiem. Tu żadna z żyjących jednostek swojej indywidualnej świadomości nie zatraca i nie może zatracić, podczas gdy zrzeszenie, jako całość, właśnie żadnej świadomości nie posiada. I w tem leży wieczysta przyczyna, dla której dobra jednostek nie można poświęcić dla rzekomego lub przypuszczalnego dobra państwowego, a z drugiej znów strony państwo należy podtrzymać w interesie jednostek. Tu w społeczeństwie życie całości służyć musi celom życiowym składowych jego części, nie zaś jak w organizmie, gdzie życie składowe części służy celom całości.

W ten to sposób tłomaczy i usprawiedliwia Spencer swój indywidualizm, podczas gdy Ward w tym właśnie niezaprzeczalnym fakcie, że tylko indywiduum jest w możności odczuć boleść i radość, widzi słuszną przyczynę dążenia do jak najzupełniejszej integracyi społecznej. A rozumuje on w następujący sposób:

Według prawa Lamarka, które Spencer uznaje, organa są wytworem funkcyj. Jakąkolwiek budowę organy i części składowe wytworzył organizm, zawsze pozostały one wytworzone jednak dla zaspokojenia jego potrzeb. Z tego wypływa, że każdy rozwój organiczny, czy to społeczny leży i leżeć musi w kierunku korzyści, jakiej się organizm po nim spodziewa. I przeciwnie dla osiągnięcia pożądanej korzyści organizm i społeczeństwo wytworzą w końcu zawsze odpowiednią budowę organa i części składowe. Spencer przeto mówi, że podporządkowanie różnorodnych części wspólnemu kierownictwu leżało najwidoczniej w interesie organizmu. Puszczenie luzem poszczególnych jego części pociągnęłoby wnet za sobą ruinę całości i części. Bo organizm posiada świadomość tylko, jako całość, podczas gdy częściom jego możemy odmówić i świadomości i czucia.

Cały ten stosunek części organizmu do całości jest w społeczeństwie wprost odwrotny i to z przyczyn, które Spencer sam przytacza, mianowicie: części (tj. jednostki ludzkie) są tu obdarzone świadomością i czuciem, podczas gdy całość (np. kościół, państwo) jest pozbawiona świadomości i zdolności odczuwania.

Różnica ta między organizmem i społeczeństwem tłomaczy nam różnicę między integracyą społeczną a organiczną. W myśl prawa Lamarka pierwsza ma wyłączne zadanie zapewnić dobro części składowych, tj. jednostek ludzkich. Wszelkie *stawanie się*, którego celem nie byłaby korzyść, jest wogóle niemożliwe zarówno w świecie organicznym, jak i nadorganicznym. Wszelkie inne przypuszczenie polega na zapoznawaniu istoty rozwoju. Cel bowiem jest przyczyną środków, które powstają w pogoni za celem. A celem jest zawsze tylko dobro (korzyść), z którego wyobrażeniem łączy się zdolność czucia osobnika czującego. Takim osobnikiem jest organizm, ale komórka, gruczoł nim nie jest. Jest nim jednostka ludzka, nie zaś państwo lub społeczeństwo. Wynika stąd, że rozwój organiczny obrać musi kierunek, sprzyjający dobru całości, a nie części, podczas gdy rozwój społeczny posuwać się będzie w kierunku korzystnym dla jednostek, nie zaś dla społeczeństwa. W obu wypadkach integracya jest środkiem, prowadzącym do celu — ale jest ona każdym razem inną. Podobnie jak budowa jest w świecie organicznym środkiem, prowadzącym do celu, tak w świecie nadorganicznym środkiem takim jest społeczeństwo — ale celem pożądanym jest tutaj już nie korzyść organizmu, całości, lecz dobro jednostek.

Ta integracya socyalna, która jest naukowym równoznacznikiem kolektywizmu, stanowi jedyny środek zapewnienia jednostkom wolności i szczęścia. Niegdyś stanowiła ona jedyny sposób uchronienia i zachowania rasy ludzkiej wobec nieprzyjaznych wpływów. Bez władzy regulującej wzajemny stosunek jednostek ludzkich, kładącej tamę zupełnemu wyzyskowi słabszych przez mocniejszego, wolność i szczęście nie byłyby możebne.

Najwyższym celem każdego prawdziwego indywidualizmu jest możliwie największa swoboda jednostek. Niezaprzeczenie integracya społeczna ogranicza nieco swobodę indywidualną, ale to ograniczenie nie daje się nawet porównać z owem, które wobec jego braku następuje. Właśnie spencerowska „równa wolność“ może być tylko osiągniętą przez takie kolektywne ograniczenie, które jednostkom zakazuje uszczuplania cudzej wolności. W granicach tego kolektywnego ograniczenia rzeczywista i słuszna wolność jednostek jest o tyle większa, o ile zupełniejszą integracya społeczna.

„Niedomaganie społeczne,“ na które teraz zewsząd słyszymy skargi, zanikać będzie z rozwojem integracyi, ku której zmierza nowoczesny ruch społeczny. Spencer ruch ten widział, ale go nie rozumiał. Widział w nim nadchodzącą niewolę, a jest on nadchodzącem oswobodzeniem ludzkości. Przeoczył, że różnica zasadnicza między organizmem zwierzęcym a społecznym, którą sam podniósł, z konieczności zmienia kierunek i każe mu działać w interesie jednostek. Ruch w kierunku kolektywizmu, który się już jasno zaznacza mimo całego gadania filozofów indywidualistycznych, jest w istocie rzeczy rozwojem społecznym, odbywającym się na podstawie praw przyrody i zmierzającym ku temu samemu celowi, co wszystkie inne formy rozwoju społecznego, tj. ku największemu pożytkowi ludzkości. Różni się tem tylko od rozwoju organicznego, że ma dać pożytek częściom nie całości, jednostkom a nie społeczeństwu, które jako całość jest nieczułe na radość i cierpienia i dlatego też dobrodziejstw żadnych nie potrzebuje.

Gdyby Spencer nie był przeoczył tej różnicy w kierunku rozwojowym między organizmem a społeczeństwem, socyologia jego byłaby nietylko sama w sobie symetryczniejszą, ale lepiejby się też wiązała z całym jego systemem filozoficznym, stanowiąc dlań naturalne zakończenie i uwieńczenie.

Tą drogą dochodzi Ward do najróżowszego optymizmu, jaki tylko sobie wyobrazić można: wszystkie te mnożące się ograniczenia woli jednostek przez państwo i te upaństwowienia, krępujące coraz to więcej jednostki, którym indywidualista Spencer przypatrywał się z trwogą i rozpaczą, jako zwiastunom „zbliżającej się niewoli," napełniają Warda radosną nadzieją, bo przecież wszystkie te „konieczne" ograniczenia są tylko pojedynczymi aktami wielkiej integracyi kolektywistycznej, która dąży do zapewnienia jednostkom możliwie największej sumy szczęścia. I może to udowodnić, bo zamiast dotychczasowego schematycznego pojmowania procesu przyrody, który kazał szukać zawsze jednakowej formy, daje własne, głębsze jego ujęcie. Nie *forma*, ale *treść* pozostaje zawsze ta sama i dlatego w ocenianiu procesów społecznych badać trzeba ich sens i cel, a nie sposób, w jaki się przejawiają i ku celom swym dążą.

Gdy w parogodzinnej rozprawie przedstawił mi Ward powyższe argumenty, musiałem się uznać za pokonanego. Nie byłem wprawdzie nigdy indywidualistą i nigdy nie głosiłem, że dzieje nie znały innych trosk nad wolność jednostki, ale z drugiej strony nigdy wielkich nadziei w kolektywizmie nie pokładałem, nie myślałem, by miał dać ludzkości wolność i szczęście. Tego optymizmu nigdy nie podzielałem, ale wobec argumentów Warda musiałem broń złożyć. Kiedy pierwej sądziłem, że proces społeczny nie *przyniesie nam ani postępu, ani nas też w tył nie cofnie*, musiałem uznać teraz wyższość przyrodniczego pojmowania Warda, według którego rozwój społeczny prowadzi nas „z okresu kamiennego sztuki państwowej," wśród którego „żyjemy, jak dzicy," do jej okresu przemysłowego, gdzie ludzie z przerażeniem myśleć będą o leżących po za nimi stosunkach państwowych.

II.

Amerykanin zatarł wesoło ręce. Nie na próżno zrobił wycieczkę do Gracu. Lubi on nadewszystko, jak sam powiada, szerzyć swe idee, a teraz udało mu się pozyskać socyologa europejskiego, którego dzieła za Oceanem na język angielski przekładają... Ale nie poprzestając na jednej, zdobytej pozycyi przypuścił szturm do drugiej. Był nią mój „poligenizm", ugruntowany na mych poglądach na istotę praw przyrodniczych. W mojej „Walce ras" postawiłem hypotezę, że ludzkość, przedstawiająca i teraz jeszcze wielość typów rasowych, pochodzi od mnogiej ilości różnych plemion i hord, których pra-siedziby rozsiane były od samego początku po całej ziemi. Historya daje nam bowiem wszędzie obraz rozwoju, idącego od wielości elementów etnicznych do wielkich amalgamów i wielkich narodowości. Że zaś przyroda biegu swego nie zmienia, przeto przypuścić nie można, by w czasach przedhistorycznych rozwój odbywał się w kierunku wprost przeciwnym, od jedności i jednolitości ku coraz większemu zróżniczkowaniu. „Ależ to niemożebne" — rzecze Ward. Żaden przyrodnik, żaden socyolog na to twierdzenie się nie zgodzi. Jest ono zupełnie nienaukowe. Budowa szkieletu ludzkiego, układ nerwów i mięśni wykazuje u wszystkich ras świata tyle zgodności, że niepodobna mieć wątpliwości codo wspólnego ich pochodzenia od tychże samych prarodziców, z tejże samej praojczyzny. Tak skomplikowanej formy, jak człowiecza, natura nie wytworzyła napewno parę razy! A jeśli spotykamy wielką różnorodność gatunków wśród ludzkości, różność ubarwienia, uwłosienia, postaci, wielkości, to może ona być tylko wynikiem ciągłego różniczkowania i przystosowywania się do rozmaitych klimatów i warunków geograficznych, a przedewszystkiem wynikiem różnic w sposobie życia i odżywiania się, uwarunkowanych położeniem geograficznem. Z teoryą wielu „ognisk stworzenia" dawno wiedza przyrodnicza już zerwała.

Pełen zdumienia, odważyłem się tylko na jeden zarzut. „Ależ jakże wytłomaczysz mi pan wobec tego tę nagłą zmianę kierunku rozwoju, który według pana kazał początkowo jednej i jednolitej grupie ludzkiej różniczkować się i dzielić, podczas gdy znana historya ludzkości przedstawia nam obraz ciągłego zlewania się różnych grup ludzkich w wielkie amalgamaty, ciągłej asymilacyi. Czyż możemy przypuścić taką zmianę w dążnościach przyrody? — Ależ pan się myli i to bardzo. Nie jesteś geologiem i dlatego przypisujesz naturze taką jednostronność. Jako geolog wiedziałbyś, że w naturze procesy nietylko często, ale zawsze zmieniają swój kierunek. Przypatrz się pan tylko okresom geologicznym. Gdyby te nie zmieniały kierunku, dawnoby wszelkie życie znikło z powierzchni ziemi. Po okresach olodzenia następowało zawsze ocieplanie i tajanie. Tak samo się rzecz ma i z procesem społecznym. Ludzkość bez wątpienia pochodzi ze wspólnego ogniska, i przeszła okres rozwojowy, wśród którego rozdzieliła się na w nieprzeliczoną mnogość plemion, które pod wpływem odmiennych warunków życiowych zróżniczkowały się i wytworzyły różne rasy.

W czasach historycznych rozpoczął się natomiast proces wprost przeciwny, który pan zgodnie z prawdą w swojej „Walce ras" malujesz; rozmaite elementa stykają się z sobą, następuje walka o byt, a ta pociąga za sobą integracyę społeczną, której wynikiem jest zawsze coraz to większa aglomeracya i asymilacya. Jak wszędzie w przyrodzie, tak i w społeczeństwie po okresie różniczkowania nastąpił okres integracyi, w którym obecnie żyjemy i który jeszcze długo, długo potrwa.

Byłem pobity. Czułem moc zaczerpniętych z geologii argumentów socyologicznych, o których sam nie pomyślałem. Prawie skruszony i zrezygnowany zdobyłem się na pytanie. Odrzucasz pan całkiem moją teoryę walki ras? Jeśli mi braknie argumentów, których mi dostarczała hypoteza polygenizmu, jeśli walki ras nie mogę przedstawić, jako zjawiska odwiecznego, zgodnego z prawami przyrody, tkwiącego głęboko w prawach kosmosu, to czyż nie zawali się cały mój system socyologiczny? „Ależ zupełnie nie" z żywością odparł Ward „społeczny proces rozwoju ludzkości, jaki pan opisujesz, dla którego punktem wyjścia jest istnienie mnogich plemion, różniących się między sobą, odpowiada jak najzupełniej rzeczywistości; *jest to proces społeczny naszego obecnego okresu geologicznego*. Zostań pan przynim—tylko z procesu społecznego, *współczesnego okresu geologicznego* nie wyciągaj żadnych wniosków o tem, co niegdyś było, a przedewszystkiem — daj pan pokój polygenizmowi. Choć zaczątek i bieg rozwoju *obecnej* ludzkości same podsuwają myśl o polygenizmie, jest on nie mniej błędem. Ludzkość współczesnego nam okresu geologicznego pochodzi od ludzkości poprzedniego okresu, która się rozwijała w kierunku wprost przeciwnym, wyszedłszy z prasiedziby pierwotnej, rozszerzając się po całym świecie i różniczkując na rozliczne rasy.

Odetchnąłem uspokojony, byłem osądzony i — uratowany. A zatem mój opis przebiegu rozwoju społecznego „w naszym okresie geologicznym" jest słuszny, tylko nie mam się wdawać w żadne wnioski o tem, co było w poprzednim okresie geologicznym? Przyrzekłem to memu surowemu sędziemu i lubemu wybawcy z największą gotowością. Zapewniłem go, że nie mam najmniejszej pretensyi być socyologiem dla całego szeregu okresów geologicznych; moja ambicya naukowa wcale tak daleko nie sięga. Wystarcza mi najzupełniej być socyologiem dla naszego okresu geologicznego; o znajomość poprzednich wcale się nie kuszę i wyznaję szczerze, że bardzo mało posiadam dla nich zrozumienia. Chętnie chcę wierzyć wszystkiemu, co mi opowie o procesach społecznych w ubiegłych okresach geologicznych mój uczony przyjaciel amerykański, którego wyższość nad sobą we wszystkich dziedzinach wiedzy uznaję. I ciekaw też jestem, co o przyszłości opowie. Najbliższe jego dzieło ma zawierać „socyologię stosowaną," która nam pokaże, jak wyjść mamy z „okresu kamiennego sztuki państwowej i przestać żyć wśród niego, jak „dzicy."

LITERATURA I SZTUKA.

NOWE KSIĄŻKI.

— Camille Mauclair: **L'impressionisme son histoire, son esthétique, ses maitres.** 1904.

Impresyonizm w malarstwie francuskiem stał się już przeszłością, lecz przeszłością, na której budowana jest teraźniejszość i przyszłość. Pisano o nim wiele i piszą dotychczas, lecz nie było dzieła, któreby tak umiejętnie i tak artystycznie ujęło ten rozlewny prąd sztuki. C. Mauclair, znany poeta i estetyk, w niewielkiem rozmiarami dziele dał syntezę tego kierunku przez jasne i dobitne wyłożenie jego początków, rozwoju i śladu, jaki pozostawił.

Mówiąc o początkach, znajduje on zorzę impresyonizmu w obrazach Claude Lorraina, Ruysdaela, Poussina, Turnera, Constable'a, Delacroix, Jongkinda, Watteau i całego szeregu cennych malarzy, z których każdy przeważnie nieświadomie lub małoświadomie dążył do tego, co wypisali na swym sztandarze Monet, Manet i inni. Samą teoryę impresyonizmu sprowadza Mauclair do zagadnienia rozdziału tonu, barw uzupełniających, studyów nad atmosferą i poglądu na rodzaj piękna i stylu.

Za czterech najwybitniejszych przywódców uważa on Maneta, Moneta, Degasa i Renoira. Początkodawcą i głównym twórcą nowych poszukiwań był Cl. Monet. On najwięcej badał nową technikę, nową formę dla nowej twórczości. Manet znów był głową kierunku na zewnątrz. On wiódł walkę z powagami owych czasów, on gorszył ich swymi obrazami. Był to talent spory, szukający wiecznie możności wypowiedzenia się. Maneta działalność, to artystyczne potwierdzenie odkryć uczynionych w optyce przez Helmholtza i Chevreula. Dał on syntezę przyrody i swą nową tak bogatą techniką rozwarł wrota do nowego piękna. Degas, idąc dalej, dał nowe ujęcie ruchu i stworzył impresyonizm linij. Renoir najmniej uczynił w zakresie budowania nowej techniki, lecz za to pomysły Moneta podniósł do najwyższego napięcia. Gra barwy, powietrze, upojenie kolorystyczną stroną świata — czyni zeń wielkiego twórcę. Za nimi idą „drugorzędni" impresyoniści, z których każdy odznacza się talentem indywidualnym. Pissarro, Sisley, Cezanne i inni.

Ciekawą swą książkę kończy Mauclair rozdziałem o neo-impresyonistach i o związku impresyonizmu z malarstwem współczesnem.

Książkę tę należy jak najgoręcej polecić naszej czytającej publiczności. U nas mało,

zajmują się ludzie historyą sztuki, mało wiedzą o tej niezwykle ważnej dziedzinie kultury. Mauclair daje rzecz w pewnym względzie nową, a jednocześnie artystyczną.

NA MARGINESIE.

Reformy papieskie. Wiadomo, że Pius X przedsiewziął reformę kleru rzymskiego. W tym celu kardynał Respighi wydelegowany został do przeprowadzenia t. zw. *sacra visita* czyli wywiadów we wszystkich kościołach i klasztorach w Rzymie. O rezultatach tych wizyt zawiadamia bardzo konserwatywna *Perseveranza*, której nie można posądzić o zamiary kościołowi nieprzyjazne: „Sacra visita znalazła dużo niewłaściwości i wielki brak staranności w kościołach, pomimo że wizytujący z góry dzień swego przybycia zapowiadali, dając czas przygotowania wszystkiego na ich przyjęcie. Wówczas zaczynało się mycie i bielenie ścian, szorowanie ołtarzy, czyszczenie pozłoceń, restaurowanie cyboryum, łatanie święconych zasłon, sprawianie nowej bielizny; tu i owdzie usuwano lampy elektryczne, których przez oszczędność używają zamiast olejnych i świec woskowych, jedynie liturgicznie dozwolonych. Prócz tego urządzano pospiesznie nadzwyczajne lekcye katechizmu, zaprowadzano porządek w księgach parafialnych, w klasztorach ryglowano drzwi tylne i chowano suknie używane podczas nocnych, niedozwolonych wycieczek. Jednem słowem, w świecie duchownym wykonywano to wszystko, co w podobnych okolicznościach zwykło się widzieć w świecie urzędniczym przed przybyciem komisyi rewizyjnej. I pomimo takich przygotowań, zwiedzający znaleźli jeszcze dużo niewłaściwości i nadużyć — ostatnia *sacra visita* miała miejsce 18 lat temu. — W wielu kościołach znaleziono ołtarze w takim stanie, że trzeba było zakazać ich używalności. W jednej z parafij setki dzieci w wieku lat 16 nie były jeszcze przygotowane ani do komunii, ani do bierzmowania; w innej nie uczono ich nigdy katechizmu, nie umiały nawet „Zdrowaś Marya." Kardynał Respighi czynił proboszczom wyrzuty za brud i zaniedbanie w kościołach. W niektórych świątyniach, np. u św. Piotra, zauważyli zwiedzający, że kraty w konfesyonałach były tak duże, iż nie odgradzały twarzy penitenta od twarzy spowiednika. Kiedy jednemu z nich zwrócono na to uwagę, odpowiedział drwiąco: „Ależ Eminencyo, do nas przychodzą spowiadać się tylko wielcy grzesznicy, a wielkie grzechy potrzebują dużych przejść (passage)." W słowie tem zamyka się aluzya do wysokich przywilejów przysługujących spowiednikom w kościele św. Piotra.

— Michał Klaudyusz Monet, trzymający się zdala od wszelkich wystaw grupowych i unikający dorocznych salonów, wystawił niedawno w prywatnej galeryi Durand-Ruel'a szereg płócien, wykonanych w przeciągu ostatniego czasu, którym za temat posłużyła jedynie Tamiza w różnych porach roku i przy rozmaitem oświetleniu. Serya tych obrazów zwróciła na siebie uwagę znawców i miłośników sztuki, wykazując talent znakomitego i sędziwego mistrza z nowej, bardziej świetnej jeszcze strony i według orzeczenia krytyki fachowej stanowiła najwybitniejsze zjawisko artystyczne wiosennego sezonu wystawowego w Paryżu.

Z PRASY.

— *Birż. Wied.* zamieściły następujący artykuł:

„W ostatnich czasach życie wysunęło nową kategoryę młodzieży, wstępującej do wyższych, specyalnych zakładów naukowych, dla których ukończenie pełnego kursu gimnazyalnego nie jest obowiązkowem. Mamy na myśli tę młodzież, która dostawała świadectwa dojrzałości ze wszystkich przedmiotów gimnazyalnego kursu, z wyjątkiem języków starożytnych. Otrzymawszy w gimnazyum odpowiedni patent, młodzież ta przystępowała do egzaminów konkursowych do wyższych, specyalnych zakładów naukowych i pomimo konkurencyi posiadaczy świadectw dojrzałości, lub z ukończenia pełnego kursu siedmioklasowych szkół realnych, znaczny procent tych „gimnazistów bez języków starożytnych" wychodził zwycięzko z tej walki i dostawał się do wyższych szkół technicznych.

Wystarcza uprzytomnić sobie, z jakiemi trudnościami połączone są egzamina konkursowe, ażeby przyznać, że dokładna znajomość przedmiotów gimnazyalnych, chociażby nawet bez języków starożytnych, daje dostateczne przygotowanie do zakładów specyalnych. Potwierdza to i ta okoliczność, że na studentów tej kategoryi wcale dotychczas nie narzekano. Jest to zupełnie zrozumiałe. Kurs gimnazyalny, nawet z połączeniem języków starożytnych, daje ogólne wykształcenie nie mniejsze, niż pełny kurs szkół realnych. Jeżeli program szkół realnych obejmuje kilka dodatkowych rozdziałów z niższej matematyki i niewielki kurs przyrodoznawstwa, to za to w gimnazyach uczniowie dokładniej przechodzą kurs języka rosyjskiego i historyi.

W dawniejszych szkołach realnych postrachem był kurs rysunków z nader wygórowanemi wymaganiami, lecz obecnie niema już tych wygórowanych wymagań. Z drugiej strony rysunki same przez się nie dają jeszcze żadnego przygotowania do wyższej szkoły specyalnej. Przygotowanie to mógłby dać raczej poważny kurs rysunków technicznych, ale właśnie tego brak w szkołach realnych. Realiści przez lata całe zawzięcie rysowali ornamenta i głowy ludzkie, cieniując je starannie, a nie nabywali przytem najmniejszej wprawy w kreśleniu technicznem, ani połączonych z tem wiadomości technicznych, tym sposobem przygotowywali się raczej do szkoły sztuk pięknych, a nie do wyższych szkół matematyki stosowanej.

Są zresztą jeszcze pewne warunki życiowe, które musiały wyróżnić korzystnie nową kategoryę „gimnazistów bez języków starożytnych." Znaczny procent tej młodzieży składał się przeważnie z ludzi więcej dojrzałych i doświadczonych, niż zwykli abituryenci gimnazyów i szkół realnych.

Byli to nieraz młodzi ludzie, którzy przygotowywali się do egzaminów po kilka lat z rzędu; ludzie ze zdaniem wyrobionem, z charakterem stałym i wypróbowanym w walce życiowej.

Wielu z nich musiało pracować na kawałek chleba, a jednocześnie przygotowywać się do egzaminów pomiędzy jednem zajęciem a drugiem po za urzędowemi godzinami.

Dlatego to przeważna część tych ludzi była zupełnie uświadomioną; umieli oni ocenić swe zdolności i siły, a stałości swej woli i wytrwałości dowiedli już przez to samo, że stawali do egzaminu, do którego przygotowywali się w tak niekorzystnych warunkach. Naturalnie, że większa część z nich zazwyczaj zdawała nietylko egzamin gimnazyalny, ale i specyalny konkursowo, a i w wyższych szkołach byli oni zawsze najlepszymi i najpracowitszymi uczniami.

Ta nowa, stanowcza i pożyteczna kategorya studentów z każdym rokiem wzrastała, gdy nagle dowiedziano się, że w tym roku „gimnaziści bez języków starożytnych" nie będą dopuszczani do egzaminów konkursowych, przynajmniej do wyższych, specyalnych zakładów ministeryum oświaty. Pogłoski o tem notowała prasa petersburska, obecnie zaś pisma odeskie przytaczają dokładnie rozporządzenie, wydane w okręgu odeskim, które potwierdza najzupełniej te pogłoski, a zarazem dodaje, że dyrektorom gimnazyów okręgu odeskiego wydano polecenie, by poinformowali osoby interesowane, któreby chciały przystąpić do egzaminów bez „języków starożytnych," że takie świadectwo nie daje prawa wstępu do wyższych szkół technicznych.

Z tekstu, przytoczonego w *Jużnem Obozreniu*, wynikłoby nawet, że „gimnazistom bez języków sterożytnych" wzbroniony jest wstęp do wszystkich wyższych zakładów naukowych. Oczywiście, zaszło tu nieporozumienie, ponieważ rozporządzenie wyszło z zarządu oświaty i naturalnie może się odnosić jedynie do szkół tego zarządu. Gdyby to było rozporządzenie, odnoszące się do wszystkich zakładów naukowych, to musiałoby jeszcze przejść przez wyższą instancyę.

To też młodzi ludzie, posiadający świadectwa dojrzałośsi „bez języków starożytnych," mogą i teraz wnosić podania do wyższych zakładów naukowych ministeryów skarbu, spraw wewnętrznych, komunikacyi, rolnictwa, dóbr państwa itd.

Jedno tylko może się niestety zdarzyć. Ponieważ rozporządzenie ministeryum oświaty nie było wszędzie opublikowane i wiele osób o niem z pewnością do tej chwili nic nie wie, przeto wielu gimnazistów tej kategoryi niezawodnie już wysłało swe podania do będących w zarządzie ministeryum oświaty wyższych szkół, a więc nie zdążą teraz na czas posłać swych dokumentów do innych zakładów naukowych. Tym sposobem młodzieńcy, którzy z takim mozołem przysposabiali się do obranego zawodu i zdawało się, że już mają drzwi otwarte do wyższych szkół, stracić mogą rok cały.

Sądzimy, że wobec niespodzianki i pewnego opóźnienia tego rozporządzenia, pożądanem byłoby, aby specyalne zakłady innych ministeryów przyznały pewien czas zwłoki tym „gimnazistom bez języków starożytnych," to jest przedłużyły przyjęcie ich podań przynajmniej o jakie dwa tygodnie. Z drugiej strony ministeryum oświaty powinnoby ostatecznie wyjaśnić prawa „gimnazistów bez języków starożytnych." Ogłoszenie takiego wyjaśnienia w *Prawit. Wiestniku*, a tem samem i w innych gazetach, zapobiegłoby rozmaitym nieporozumieniom i wątpliwościom, wskazując tym sposobem właściwą drogę młodzieży, dążącej do wyższego wykształcenia."

— W *Birż. Wied.* (nr. 403) czytamy:

„Zalety żołnierza rosyjskiego, jego niezachwiane męztwo, jego ślepe spełnianie obowiązków nie podlegają żadnej wątpliwości. Wywołują one podziw i szacunek nawet wśród jawnych wrogów Rosyi. Aliści żołnierz rosyjski posiada jedną wadę — piętę achilesową: pod względem wykształcenia, pod względem oświaty stoi znacznie niżej od żołnierza japońskiego.

Ogólnie wiadomo, że prawie każdy Japończyk jest piśmienny. Wiadomo, że w Japonii, liczącej 48 milionów mieszkańców, jest 5 milionów uczniów, kiedy w Rosyi takaż sama prawie liczba młodzieży szkolnej przypada na 148 milionów. Jeszcze bardziej krzycząca jest różnica liczby piśmiennych i niepiśmiennych tu i tam. Wiedziano o tem, lecz nie miano namacalnego dowodu, jak dalece taki stan rzeczy wiąże się ze specyalnemi nawet czynnościami człowieka, jak w danym razie z wojną. O przysłowiu, że pod Sedanem zwyciężył pruski nauczyciel szkolny, 100 albo nawet 120 milionów Rosyan nigdy nie słyszało, a pośród tych, którzy je słyszeli, nie brakło takich, którzy odmawiali mu słuszności. A w każdym razie bardzo mało zdziałano, aby naśladować pod tym względem armię pruską.

Obecnie sprawozdania naszych korespondentów z placu boju powinny wpłynąć znacznie na zarzucenie poglądu, że wykształcenie stanowi dla żołnierza rosyjskiego niepotrzebny zbytek.

Ze zgodnych relacyj korespondentów dowiedzieliśmy się teraz, iż żołnierze japońscy nietylko są wszyscy piśmienni, lecz że nadto umieją korzystać pomyślnie ze swojej oświaty w celach wojskowych. Omal nie przy każdym zabitym lub wziętym do niewoli Japończyku znajdowano książeczkę z nieodzownie potrzebnemi wskazówkami: oprócz przepisów czysto wojskowych, książeczki takie zawierają zapas najużywańszych wyrazów i zdań w języku

chińskim i rosyjskim, wytłoczonych zgłoskami japońskiemi.

Kiedy zatem nasi szeregowcy, a nawet oficerowie, błądzą śród żywych ludzi, jak w borze, o ile nie mają wiarogodnego tłomacza — żołnierz japoński z łatwością zbiera najpotrzebniejsze dane, nie mówiąc już o tem, że wyższy wogóle stopień oświaty pozwala mu łatwiej oryentować się w cudzym kraju, aniżeli kozakowi lub żołnierzowi rosyjskiemu.

Nadszedł więc czas, kiedy surowa rzeczywistość dowodnie wskazuje nam całą szkodliwość braku oświaty żołnierzy i całą konieczność zatroskania się coryehlej o jak największe szerzenie oświaty śród ludu rosyjskiego."

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Biura rekomendacyi pracy mają być założone przy wszystkich kuratoryach trzeź-[illegible]

— Władze pruskie zamknęły istniejącą od 45 lat w Poznaniu wyższą szkołę żeńską p. Estkowskiej za nauczanie języka polskiego.

— Starostwo w Stanisławowie, w Galicyi, zabroniło przedstawień wędrownej trupie niemieckiej. Nie pomogła skarga wniesiona przez przedsiębiorcę do namiestnictwa.

— *Gazeta Świąteczna* donosi, iż na okręcie wojennym „Ruryku," zatopionym podczas bitwy morskiej, znajdowało się czterech prenumeratorów *Gazety*. Jan Moczydło, Michał Lichosek, Gabryel Zawisza i Paweł Ciech. Wszyscy oni należeli do załogi „Ruryka" i *Gazetę* odbierali w Władywostoku. Los ich niewiadomy.

— Ze sprawozdania syonistów od d. 1 lipca 1903 r. do d. 30 czerwca r. b. dowiadujemy się, że wydział wykonawczy w Wiedniu wydał przez ten czas 114,911 koron, między innemi na urządzenie kongresu 26,800, tygodnik syonistyczny 20,000, pensye 12,400, podróże 11,000, pocztę 10,900, druki 9,400 k. Dochody były r. b. mniejsze, z powodu wojny na Dalekim Wschodzie i Ugandy, na którą syoniści nie chcieli dawać pieniędzy, jak wyjaśnia prasa hebrajska. Zatwierdzony przez władzę w Odesie komitet Palestyńczyków miał także mniejszy w r. b. dochód; z 389 miast w Rosyi wpłynęło 50,770 rb.

— Powstał projekt założenia Towarzystwa wszechrosyjskiego wzajemnej pomocy lekarzy na wypadek [illegible]

Szkoły i wychowanie. Zakładane są seminarya nauczycielskie żeńskie, na wzór męzkich, w celu przygotowania nauczycielek ludowych z pośród ludności wiejskiej.

— W Brodach odbyło się zgromadzenie młodzieży akademickiej, na którem uchwalono żądanie spolszczenia tamtejszego gimnazyum niemieckiego. W wiecu wzięli także udział Żydzi z wyjątkiem syonistów.

— Z polecenia władzy wyższej nakazano rewidującym szkoły początkowe, aby wnikali w warunki działalności nauczycielek ludowych i przedsiębrali odpowiednie środki polepszenia ich bytu materyalnego i moralnego.

— Zapisy do sal rysunkowych przy Muzeum rzemiosł i sztuki stosowanej (Składowa 3) przyjmowane są codziennie od 10 do 12 i od 5 do 8 wieczorem. Zajęcie rozpoczną się d. 15 b. m.

— Zarząd Akademii um. w Krakowie ogłosił konkurs na dwa stypendya im. Maryi Jankowskiej po 900 koron rocznie, płatnych w dwóch ratach z góry (pierwsza dnia 15 listopada, druga d. 1 maja). Ubiegać się o nie mogą młodzieńcy niezamożni, pochodzenia polskiego, stanu szlacheckiego, religii rzymsko-katolickiej (pierwszeństwo mają pochodzący z Królestwa Polskiego), którzy pragną się kształcić w wyższych zakładach naukowych w Krakowie lub po za jego obrębem. Zarząd Akademii może, zamiast dwóch po 900 koron, nadać kandydatowi jedno wyższe stypendyum w wysokości 1,800 koron rocznie. Z zasady stypendya dawane będą na rok, ale pobieranie ich przedłużone być może kilkakrotnie nawet po normalnem ukończeniu studyów. Podania przyjmowane będą do d. 15 października r. b.

— Studentom wydziału historyczno-filologicznego w Jurjewie pozwolono zawiązać stowarzyszenie lite-[illegible]

Wiadomości naukowe. Zarząd Towarzystwa wzajemnej pomocy pracowników handlowych i przemysłowych m. Warszawy ogłosił konkurs na napisanie w języku polskim podręcznika, zawierającego zasady korespondencyi handlowej z przykładami. Nagroda 600 rb., z których 200 wypłacone będą autorowi wyróżnionej pracy niezwłocznie po rozstrzygnięciu konkursu, pozostałe zaś rb. 400 po wydrukowaniu rękopisu. Termin do 1 grudnia 1905 r.

— Departament rolnictwa ogłosił spis tematów dla odczytów ludowych, z uwzględnieniem potrzeb każdego z okręgów rolniczych. Nie są one jednak obowiązkowe, lecz służyć mają, jako przewodnik dla osób niefachowych, mogących zająć się tą sprawą.

Ze sztuki. Zmarły artysta-rzeźbiarz, Józef Manzel, przekazał zarządowi Muzeum przemysłu w Warszawie kolekcyę figur klasycznych, gipsowych, odlanych z oryginałów, znajdujących się w muzeach watykań-[illegible]

— W muzeum Czapskich w Krakowie otworzono wystawę zabytków cechów miejscowych.

Sprawy ekonomiczne. Zarząd warszawski ministeryum rolnictwa i dóbr państwa, zawiadujący gubernią Warszawską, Płocką, Kaliską i Piotrkowską, otrzymał polecenie przedstawienia danych o stopniu nieurodzaju, oraz projektów, jakie mają być przedsiębrane przez władze administracyjne i instytucye społeczne w celu zaspokojenia potrzeb ludności włościańskiej.

— Wznowiono projekt mianowania inspektorów gospodarstwa rolnego w Królestwie Polskiem, po jednym na kilka gubernij.

— Według zeszłorocznego bilansu, liczba spółek zarobkowych w W. Ks. Poznańskiem i Prusach Zachodnich, należących do Związku, wynosiła 141, z których 31 mieści się we wsiach. Fundusz rezerwowy wzrósł w ciągu roku z 3,613,000 m. na 4,239,000 marek, depozyty zaś wynoszą 58 mil. mar., podczas gdy w r. z. było 49 mil. Z wszystkich spółek zarobkowych 17 nie mogło dać żadnej dywidendy, 4 zaś ukończyły rachunki nawet ze stratami, pomiędzy innemi „Dom przemysłowy" w Poznaniu. Natomiast 7 spółek udzieliło 4% dywidendy, 17 po 5, 55 po 6, 17 po 7, jedna dała $7\frac{1}{2}$, 13 dało 8, a 3 po 10%.

— Ministeryum rolnictwa zamierza przy Towarzystwach rolniczych utworzyć kasy wydawania nagród pieniężnych wyróżniającym się robotnikom rolnym.

— Posady inspektorów rzemieślniczych na wzór fabrycznych, mają być utworzone w miastach gubernialnych i powiatowych.

Koleje i komunikacye. *Kur. Warsz.* donosi: Ministeryum rolnictwa i dóbr państwa poruszyło sprawę ustanowienia odpowiedzialności materyalnej kolei za zepsucie wytworów rolnych. Taka odpowiedzialność, zdaniem ministeryum, zmusi personel kolejowy do troskliwszego obchodzenia się z przewożonymi towarami, które obecnie nietylko psują się, lecz nawet bywają rozkradane bezkarnie.

Katastrofy. W mieście Binan, na wyspach Filipińskich, podczas pożaru śród nocy, kilkaset osób straciło życie.

— W Antwerpii zapaliła się w cysternach i rozlała nafta, obejmując płomieniem 200 hektarów przestrzeni. Ofiary w ludziach duże.

Zmarli. Leopold Starzeński, pisarz dramatyczny, w Podkamieniu, w Galicyi.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu K. Lewan. we Lwowie. „Drobiazg" nie dla nas.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою Варшава, 27 Августа 1904 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.